

John Ringo

# WLUSTRZE



# W LUSTRZE

# ***JOHN RINGO***

# Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA](#)  
[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)  
[ROZDZIAŁ DRUGI](#)  
[ROZDZIAŁ TRZECI](#)  
[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Epicentrum eksplozji, której siłę oszacowano później na równowartość 60 kiloton trotylu, znajdowało się na Uniwersytecie Środkowej Florydy. Wybuch nastąpił w sobotę o godzinie 9:28, w spokojny marcowy dzień w Orlando, kiedy na niebie brakło chmur, panował przyjemny chłód i było stosunkowo sucho jak na Florydę. Do eksplozji doszło bez żadnego ostrzeżenia, a jej skutki odczuwano daleko poza terenem uniwersytetu.

Golfiarzom z Fairways Country Club dany był zaledwie moment na doświadczenie oślepiającego rozbłysku i żaru, gdy pochłaniała ich ognista kula. Dwaj młodzieńcy, którzy sprzedawali na University Boulevard „najlepsze, markowe magnetofony” i „nie mogli z nimi wrócić, bo szef by ich zabił”, nie mieli nawet tak krótkiej chwili. Kula ognia rozprzestrzeniała się we wszystkich kierunkach. Biały klosz rozrastającej się plazmy przemienił w popiół podmiejskie osiedla, pożarł uniwersytet, domy mieszkalne, rodziny, psy i dzieci. Ściana plazmy wytworzyła potworną falę uderzeniową powietrza, która dążyła na zewnątrz niczym tornado, niszcząc wszystko, co znalazło się na jej drodze. Na południu fala uderzeniowa dotarła aż do US 50, gdzie poranni klienci sklepów zostali oślepieni i zasypani płonącymi odłamkami. Poraziła ludzi mknących szosą Greenway, ciskając samochodami ponad pół kilometra. Na północy sięgnęła niemalże do miasteczka Oviedo, po drodze równając z ziemią rejon Goldenrod, na zachodzie dotarła aż do Semoran Boulevard, a na wschodzie do Lake Pickett. Grzmot detonacji dał się odczuć aż w Tampa, Cocoa i Ocala, zaś wzbijający się ku jasnemu niebu poranka grzyb pyłu, w którym kotłowały się fioletowe i zielone błyskawice, widziano nawet w Miami. Płonące odłamki opadły na Park Avenue w Winter Park, powodując natychmiastowy zapłon prastarych dębów, miło ocieniających drogę, i zrujnowały westybul St. Paul’s Church.

W warsztatach Kompanii Charlie, 2. Batalionu, 53. Brygady, Gwardii Narodowej Sił Zbrojnych USA na Florydzie żołnierze, dokonujący po zakończonej misji drobnych prac remontowych w wozach wielozadaniowych Humvee i ciężarówkach Hemem, spojrzeli na rozbłysk i skulili się bojaźliwie. Ci, którzy pamiętali coś ze swojego szkolenia, rzucili się na ziemię, osłaniając głowy ramionami. Inni pobiegli do przestarzałego magazynu uzbrojenia, szukając schronienia w stalowych klatkach. Służyły one do zabezpieczenia wojskowego sprzętu wtedy, gdy zajmowali się zadaniami cywilnymi lub – wówczas znacznie bardziej powszechne – byli wysyłani z misjami na Bałkany, do Afganistanu czy Iraku.

Specjalista Bob Crichton sporządzał listę strat w swojej kwaterze, kiedy usłyszał grzmot. Jednostka wróciła ledwie tydzień wcześniej z rocznej służby w Iraku i wyglądało na to, że prawie wszyscy „stracili w boju” swoje maski ochronne. Ich aktualny stan odzieży ochronnej nie przekraczał 30 procent prawidłowego stanu. To była czysta głupota. Wszyscy wiedzieli, że prędzej czy później jakieś dzikusy uderzą na nich jakąś bronią masowego rażenia; chemiczną, radiologiczną, a nawet jądrową, odkąd Pakistan przekazywał Saudyjczykom głowice jądrowe. Ale przecież nikt nie przepadał za odzieżą ochronną czy maskami gazowymi i „gubił” je tak szybko, jak tylko mógł. Zasadzka na konwój? Cholera, te dzikusy musiały rąbnąć mi maskę. Wymiana ognia? Gdzie się podziała ta odzież ochronna?

Podniósł wzrok na ścianę, gdzie wisiał jego oprawiony dyplom zaawansowanego kursu szkoleniowego Korpusu Chemicznego Sił Lądowych USA, i spostrzegł, że szkło w ramach pękło. Jeszcze zanim dokument spadł ze ściany. Mrugnął nerwowo dwa razy i zanurkował pod metalowe biurko, zaciskając dłonie na uszach i jednocześnie otwierając usta w celu wyrównania ciśnienia, na

moment przed wtargnięciem fali uderzeniowej. Nawet w huku eksplozji, która zdawała się obejmować cały świat, wyłowił dźwięk, z jakim wielkie szyby magazynu uzbrojenia runęły na posadzkę sali musztry. Rozległ się odgłos rozdzierania metalu, przypuszczalnie jednego ze starych dźwigarów, podtrzymujących strop sali musztry, po czym zapadła względna cisza, wyjąwszy jakieś stłumione okrzyki. Odczekał chwilę, słysząc skrzypienie starego budynku, ale doszedł do wniosku, że jest tak samo bezpieczny jak zwykle, zatem wygrzebał się spod biurka i udał się do gabinetu dowódcy kompanii.

Sierżant sztabowy i sierżant operacyjny właśnie wygrzebywali się spod swoich biur, gdy Crichton wparował bez pukania, co normalnie stanowiłoby kardynalne wykroczenie, lecz uznał, że to moment równie dobry jak każdy inny na zignorowanie tej dyrektywy.

– Niech nikt nie wychodzi na zewnątrz przez co najmniej 30 minut, Top – oznajmił przestępując z nogi na nogę w progu. – Potrzebny mi jest mój zespół rozpoznawczy, czyli Ramage, Guptill, Casey, Garcia i Lambert. I tak szybko jak tylko będzie można, muszę mieć pluton, żeby zacząć napełniać worki z piaskiem do humveech...

– Zwolnij – odezwał się sierżant sztabowy, na moment zasiadłszy w swoim fotelu, a następnie uniósłszy się, by strącić z niego okruchy gruzu opadłe z naruszonego sufitu.

Sierżant sztabowy był wysoki i chudy. Aż do zeszłego roku pracował jako główny śledczy w Urzędzie Szeryfa Lake County. Gdy zostali wysłani z misją, lekceważąc „Ustawę o żołnierzach i marynarzach”, dał szeryfowi zgodę na wyznaczenie jego zastępcy do pracy w urzędzie szeryfa. Kiedy więc wrócili, zgodził się na mniejszą pensję i zabrał się do pracy jako sierżant. Na miejscu zbrodni orientował się we wszystkim tak świetnie, jakby był przy przestępstwie. Sprawdzał się nawet całkiem nieźle w przypadku wydobywania kompanii spod ataku mózdzierzowego czy zasadzki na konwój. Należał do najlepszych na świecie, jeśli chodzi o szkolenie żołnierzy w wyszukiwaniu ukrytych ładunków wybuchowych, broni i innych zakazanych materiałów – traktował to tak samo jak przetrzaskanie domu jakiegoś dilerka. Jednak nuklearny atak był dla niego czymś zupełnie nowym i potrzebował kilku chwil, żeby dojść do siebie.

– Nie mogę zwolnić – odparł. – Muszę założyć stację radiologiczną, zanim ktokolwiek wyjdzie na zewnątrz nawet po upływie pierwszych 30 minut.

– O co chodzi z tymi 30 minutami? – wtrącił się sierżant Wolf.

Sierżant operacyjny był średniego wzrostu, a swoją wagą znacznie przekraczał akceptowane wojskowe normy. I wcale nie były to mięśnie, jak w przypadku kierowcy dowódcy, cholernego zapaśnika, lecz tłuszcz. Ale za to był całkiem łebski. Ów incydent poruszył go – najwyraźniej potrzebował jeszcze więcej czasu niż sierżant, by przywyknąć do sytuacji – ale po prostu był łebski. Gdy nie przebywał na tym czy innym zadupiu trzeciego świata, pełnił funkcję menadżera w Kinkos.

– Chodzi o spadające odłamki – powiedział Crichton. – Nie wiemy, czy to broń jądrowa. Pewnie tak, choć równie dobrze mogło dojść do uderzenia asteroidy. Takie kolizje powodują wyrzucenie wielkich kawałków płonącej skały do stratosfery, które po pewnym czasie muszą opaść z powrotem.

– Top? – Usłyszał głos zza pleców. Specjalista chemik odwrócił się i ujrzał, że w czasie rozmowy podszedł do nich zastępca dowódcy plutonu mózdzierzy.

Zastępca dowódcy plutonu, sierżant, był w cywilu kurierem w UPS i mógł pochwalić się potężną budową ciała, rozwiniętą przez wiele lat rzucania pudłami – często całkiem ciężkimi. Teraz, gdy przez dziesięć miesięcy w roku siedział za biurkiem, nabrał nieco tuszy, ale wciąż był wielkim facetem, którego nie chcielibyście spotkać w ciemnej uliczce.

– Dajcie Crichtonowi jego zespół rozpoznawczy – rozkazał sierżant sztabowy spoglądając na rozrzucone na biurku papiery. Nagle przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. – Wyślijcie sierżanta

Burella. Niech powiadomi wszystkich, żeby pozostali wewnątrz, aż się wszystko wyjaśni. Potem niech skontaktuje się z pozostałymi zastępcami dowódców plutonów w Swamp. Wolf, leć do batalionu, sprawdź, co się dzieje.

– Gdzie dowódca? – zapytał Bob, zerknąwszy na zamknięte drzwi na tyłach pomieszczenia.

– Na śniadaniu z dowódcami plutonów i dowódcą batalionu – odpowiedział cierpko były śledczy.

– Musimy poradzić sobie z tym, zanim wrócą. Ruszajcie.

\* \* \*

FLASH to komunikat najwyższego uprzywilejowania w amerykańskiej łączności wojskowej, mający nawet wyższy priorytet niż bezpośredni rozkaz operacyjny. Satelity na orbicie odnotowały potężny wybuch, a komputery naziemne automatycznie zaszeregowały go jako eksplozję jądrową.

– Jasna cholera! – wymamrotał sierżant sił powietrznych nadzorujący konsolę ostrzegania o ataku jądrowym i poczuł silny ścisk w żołądku. Dawnymi czasy złapałby za słuchawkę telefonu. Teraz wcisnął trzy przyciski, potwierdzając trzy oddzielne komunikaty wyświetlające prośbę o potwierdzenie, po czym bezzwłocznie została wysłana wiadomość o priorytecie FLASH do Krajowego Centrum Dowodzenia Wojskowego w Pentagonie. Potem, gdy w zazwyczaj cichym pokoju w Sunnyvale w Kaliforni rozległy się syreny alarmowe, podniósł słuchawkę telefonu.

\* \* \*

Cudowne wynalazki systemu łączności wojskowej i komputerów sprawiły, że prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej otrzymał wiadomość o prawdopodobnym ataku jądrowym na obszarze Środkowej Florydy zaledwie 30 sekund przed tym, jak ów news pojawił się w stacji telewizyjnej Fox.

– Wiem, że nie potrafimy jeszcze powiedzieć, kto to zrobił – oświadczył spokojnie prezydent. Przyjechał do Camp David na Florydzie na weekend, lecz większość wysokich rangą członków administracji była już z nim w stałej łączności telefonicznej. – Ale mógłbym pozwolić sobie na trzy próby odgadnięcia, z których sensowne wydają się tylko dwie.

– Panie prezydencie, nie wyciągajmy pochopnych wniosków – rzekła jego doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego. Była specjalistką w zakresie strategii nuklearnej i przeprowadzała analizę zagadnienia terroryzmu od czasu ataków z 11 września 2001 roku. Incydent nie pasował do schematu ataku terrorystycznego. – Przede wszystkim nikt nie wierzy, by zyskali dostęp do jakiegokolwiek broni jądrowej. Bomba radiologiczna, być może. Ale to wygląda na broń jądrową. Jednakże taki wybór celu nie miałby najmniejszego sensu dla terrorysty. Za cel wybrano teren Uniwersytetu Środkowej Florydy. Po co marnować broń jądrową na uniwersytet, skoro można ją wykorzystać do zniszczenia Nowego Jorku, Waszyngtonu, Los Angeles czy Atlanty?

– Muszę to przemyśleć z ludźmi z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (NSA), panie prezydencie – orzekł sekretarz obrony. – To nie wygląda na atak. Jaka jest szansa, że był to jakiś wypadek?

– Nie wiem aż tak dużo na temat działań na Uniwersytecie Środkowej Florydy – przyznała specjalistka w dziedzinie bezpieczeństwa narodowego. Dawniej była dziekanem sporej uczelni wyższej, lecz od kilku lat zajmowała biurko doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego w czasie działań wojennych. Jak podkreślała, jej ambicją po zakończeniu pracy dla rządu jest osiągnięcie stanowiska prezes Narodowej Ligi Futbolu Amerykańskiego (NFL). – Ale nie sądzę, żeby zajmowali się jakimś programem badań jądrowych. Jestem pewna, że zapamiętałabym to. Poza tym wypadki z bronią jądrową nie przydarzają się tak po prostu. W ogóle niezwykle trudno ją uruchomić.

– A więc wstrzymujemy się z podjęciem działań? – zapytał prezydent.

– Tak, sir – przyznał sekretarz obrony.

– Musimy jak najszybciej wygłosić oświadczenie – zaznaczył szef sztabu. – Zwłaszcza jeśli mamy

pewność, że nie był to atak terrorystyczny.

– Przygotujcie je – polecił prezydent Stanów Zjednoczonych. – Idę się trochę zdrzemnąć. Domyślam się, że to trochę potrwa.

\* \* \*

– Dobra, Crichton, co masz?

Dowództwo 2. Batalionu mieściło się wraz z Kompanią Charlie w magazynie uzbrojenia. W tym momencie batalion, w którym powinien znajdować się sierżant oraz dwaj specjaliści jako zespół do spraw broni jądrowej, biologicznej i chemicznej, nie miał żadnego z nich. Od zeszłego roku Bob Crichton był jedynym odpowiednio wyszkolonym specjalistą w dziedzinie tych broni w całym batalionie. Z goryczą odnotował fakt, że choć odwał robotę sierżanta i sześciu innych ludzi, nie miało to żadnego przełożenia na jego awans.

– Żadne z moich urządzeń nie wykazuje wzrostu promieniowania tła, sir – wyrecytował bez wahania specjalista.

Spotkanie sztabu batalionu i dowódców kompanii odbywało się w batalionowej sali konferencyjnej, niedużym pomieszczeniu z wielkim stołem i ścianami obwieszonymi insygniami, nagrodami oraz trofeami jednostki. Gdy przestępował przez próg, nawiedziło go pewne pytanie. Ledwie parę minut temu otrzymał polecenie „by zabierać swą dupę do dowództwa batalionu i zameldować się przed starszym sierżantem sztabowym”. W międzyczasie przygotowywał swoje zespoły rozpoznawcze.

Radiologiczne zespoły rozpoznawcze wydzielano ze zwykłych kompanii i wysyłano, by sprawdzić, gdzie jest największe natężenie promieniowania po ataku nuklearnym. Był to jeden z wielu scenariuszy, które siły zbrojne USA miały w podręcznikach, ale rzadko przywiązywały do nich większą wagę. Szeregowi oraz sierżant zostali wybrani do zespołu rozpoznawczego kompanii wiele miesięcy wcześniej i do tej pory powinni zostać wyszkoleni. Zawsze jednak trafiały się jakieś ważniejsze rzeczy do zrobienia i pilniejsze ćwiczenia, zwłaszcza w czasie rozwijania sił. Musiał więc zaznajomić tych ludzi z podstawowymi zagadnieniami teraz, w tym samym czasie, kiedy usiłował kontrolować odczyty wszystkich instrumentów pomiarowych, przygotowywał raport na temat zagrożenia nuklearnego dla szefów sztabów połączonych sił zbrojnych, a jednocześnie miał zorientować się w całej sytuacji, która na pierwszy rzut oka nie miała żadnego sensu!

Znał wszystkich oficerów w sali konferencyjnej i szczerze mówiąc nie przepadał za nimi. Oficer operacyjny, major, pozostawał w służbie czynnej tak długo, jak tylko mógł, ponieważ w cywilu był nauczycielem w szkole podstawowej i trenerem piłki nożnej. Jako major zarabiał trzy razy tyle, ile dostawałby w swoim cywilnym zawodzie. Potrafił zanudzić każdego w batalionie na śmierć. Zdołał „utrzymać głowę powyżej powierzchni wody” na swoim obecnym stanowisku tylko dzięki swemu sierżantowi operacyjnemu, który w cywilu pracował jako kierownik dużej firmy zajmującej się dystrybucją narzędzi i farb. Oficer dowodzący batalionem był małomiasteczkowym gliną. Miły gość, trzeba mu przyznać, w całkiem niezłej formie, choć miał skłonności homoseksualne i nie należał do najbystrzejszych. Jak udało mu się dostać awans na majora, to było pytanie! Dowódca batalionu był dobrym kierownikiem i przyzwoitym przywódcą, ale jeśli poprosilibyście go, żeby na moment „postarał się myśleć nieschematycznie”, to zapytałby was, o jaki właściwie schemat wam chodzi. A jak na razie wszystko, co się działo, nie pasowało do żadnego schematu znanego Crichtonowi.

– Rzecz w tym, że to wcale nie wygląda na atak jądrowy, panie pułkowniku – wyznał.

– Stamtąd, gdzie stałem, wyglądało na atak jądrowy jak cholera – odparł oficer pełniący obowiązki, marszcząc brwi. – Wielki błysk, grzyb pyłu, ogłuszający huk. Jak atom.

– Nie ma żadnego promieniowania ani EMP – podkreślił Bob kręcąc głową.



– Co...? – Dowódca Kompanii Charlie potrząsnął głową. – Wiem, że powinienem to wiedzieć, ale niech mnie diabli, nie wiem. Co to jest... to, co powiedziałeś?

– EMP, sir – odpowiedział. – Impuls elektromagnetyczny. Zasadniczo ładunki jądrowe wpływają na wszystko niczym ogromne generatory magnetyczne. – Sięgnął do kieszeni, by wyjąć telefon komórkowy. – Zadzwoiłem do mojej matki, żeby powiedzieć jej, że nic mi się nie stało i żeby się nie martwiła. Nie myślałem o tym...

– W porządku – rzekł dowódca batalionu. – Wszyscy zachowaliśmy się podobnie.

– Tak, sir – zaprotestował Crichton – ale ja chcę powiedzieć, że dopiero, gdy skończyłem rozmowę, coś sobie uprzytomniłem. Przy bombie jądrowej o takiej sile impuls elektromagnetyczny unieruchomiłby wszelkie urządzenia elektroniczne w Orlando. To znaczy wszelkie nieosłonięte. Telefony, komputery, samochody. Natomiast wszystko działa – czyli to nie była bomba jądrowa.

– Słuchaj, Crichton, zadzwonił do mnie osobiście szef sztabu – powiedział oficer dowodzący batalionem. – Mam na myśli szefa sztabu Sił Zbrojnych USA. W drodze jest grupa speców z Zespołu Szybkiego Reagowania do Spraw Zagrożeń Nuklearnych (NEST), żeby to sprawdzić, ale on chce mieć jakieś dane natychmiast. Co mam mu powiedzieć?

Specjalista zmarszczył czoło. Szef sztabu z pewnością przekaże to, czego dowie się od niego, komuś jeszcze wyżej postawionemu. Przypuszczalnie prezydentowi. Jeśli się pomyli...

– W tym momencie ten... incydent nie odpowiada schematowi ataku jądrowego, sir – orzekł z przekonaniem. – Nie ma żadnych oznak EMP ani promieniowania. Ani... – przerwał, po czym skrzyżował ramiona na piersi. – Ani nie wygląda to na uderzenie asteroidy.

– Co takiego? – wtrącił się oficer operacyjny.

– Proszę posłuchać – powiedział Crichton, pospiesznie zbierając myśli. – Czy widzieli panowie kiedyś film pod tytułem *Armagedon*? Albo może *Dzień zagłady*?

– To coś fantastyczno-naukowego, prawda? – skrzywił się major. – Ja nie oglądam takich rzeczy.

– Asteroida prawdopodobnie doprowadziła do zagłady dinozaurów, sir – wyjaśnił, starając się mówić tak, żeby nie brzmiało to, jakby mówił do dziecka. – To nie science-fiction, coś takiego może wydarzyć się w każdej chwili.

– Ale otrzymalibyśmy jakieś ostrzeżenie, racja? – zapytał oficer pełniący obowiązki. – Jest jakaś grupa ludzi, która obserwuje takie zjawiska. Już kilka lat temu mówili przecież, że wydawało im się, iż jakaś asteroida zmierza w kierunku Ziemi...

– Nie, sir, nie otrzymalibyśmy żadnego ostrzeżenia – odpowiedział Crichton potrząsając głową. – Chyba że mielibyśmy naprawdę sporo szczęścia. Specjaliści prowadzący projekt Spacewatch potrafią objąć tylko około 10 procent nieba. Asteroida czy meteor może nadlecieć z każdej strony. Ale z drugiej strony nie ma żadnych śladów, że to uderzenie takiego obiektu. Asteroidy rozpadają się na kawałki. Składających się na nie brył skalnych może być całe mnóstwo, a niektóre bywają naprawdę wielkie, zwłaszcza w przypadku ognistych kul takich jak ta, która najwyraźniej dotarła do samej powierzchni ziemi. Meteory zwane chondrytami rozrywają się w atmosferze nad ziemią – przypuszczalnie coś takiego stało się nad Tunguską...

– Uczą tego na kursach dla speców od broni jądrowej, biologicznej i chemicznej? – zainteresował się oficer operacyjny.

– Nie, sir, ale w ciągu ostatnich dziesięciu lat zarejestrowano takie uderzenia, to są potwierdzone informacje – orzekł specjalista. – Mam kontynuować?

– Mów dalej, specu – polecił dowódca batalionu. – Zatem zmierzasz do tego, że to nie wygląda na meteor.

– Nie wygląda – potwierdził. – W międzyczasie wyłowiłem parę istotnych informacji z mediów.

Nad miejscem eksplozji unosi się ogromna kula pyłu, zaś śmigłowce stacji telewizyjnych trzymają się w pewnej odległości od niej ze względów bezpieczeństwa. Mimo to załogi helikopterów spostrzegły, że schemat rozkładu zniszczeń jest niemalże kolisty. To raczej niezwykle dla meteorów.

– Dlaczego? – spytał oficer pełniący obowiązki.

Bob westchnął.

– Kąty, sir.

– Siadaj, Crichton – rzekł major dowodzący batalionem. – I spokojnie to wytłumacz. Ja też się na tym nie znam.

– Dziękuję panom – odpowiedział, podsuwając sobie krzesło, następnie uniósł dłonie ku górze, zaginając je w kształt kuli. – To jest Ziemia, tak? Żeby spowodować zniszczenia idealnie koliste, asteroida musiałaby przylecieć pod kątem prostym. – Wskazał drugą ręką na miejsce zagięcia dłoni, potem pokazał miejsca nieco po bokach. – Lecz meteor może nadlecieć z dowolnego kierunku. Znacznie wyższe jest prawdopodobieństwo, że uderzy pod pewnym kątem. Jeśli tak się stanie – złączył ręce, po czym ponownie je rozpostarł – to przypomina to wrzucenie kamienia do kałuży z błotem. Większość błota rozbryzga się na boki. Niektóre rozbryzgi będą za miejscem uderzenia. Inne, nieco mniejsza ilość, za nim. Uważa się, że meteor, który spowodował wymarcie dinozaurów trafił w Jukatan. „Rozbryzgi” powstałe w następstwie jego uderzenia dotarły do Europy. Fala plazmy przemierzyła większą część Ameryki Północnej. Przyjmijmy, że nasza asteroida nadleciałaby z zachodu. Przede wszystkim powinniśmy dostrzec lub dowiedzieć się o jakimś śladzie w atmosferze. Czymś w rodzaju „spadającej gwiazdy” za dnia. Ponadto po uderzeniu płonące kawałki skał powinny spadać jak deszcz wszędzie stąd aż po Cocoa.

– Ale tak się nie stało – oznajmił dowódca batalionu, kiwając potakująco głową. – Ludzie z urzędu szeryfa w Orange County chcą wysłać śmigłowiec nad ten obszar, aby ocenić zniszczenia i dowiedzieć się, co się właściwie stało. Będzie z nimi jakaś osoba odpowiedzialna za reakcję na zagrożenia chemiczne i biologiczne, ale chcą też mieć jakiegoś wojskowego, który wie coś na temat broni jądrowej. Jeśli o to chodzi, to mamy tylko ciebie. Zgłosisz się na ochotnika do tej misji?

– Tak jest, sir – przystał na to Crichton z błyskiem w oczach.

– To może być niebezpieczne – zaznaczył dowódca.

– Tak jak podróż autostradą Highway One, sir – odparł specjalista. – Ale dałbym sobie odciąć lewą rękę, żeby znaleźć się w pierwszym zespole rozpoznawczym. Dla nas to coś takiego jak dla żołnierza piechoty wkroczenie na pierwszego przez drzwi domu zajętego przez wroga. Dla specjalisty w zakresie broni jądrowej, biologicznej i chemicznej to jest matka wszystkich drzwi.

– Okay – rzucił oficer z uśmiechem. – Zadzwońię do nich, a potem zadzwonię do szefa sztabu.

\* \* \*

– To był szef sztabu sił zbrojnych – oznajmił sekretarz obrony. Podróż śmigłowcem UH-60 Blackhawk z Waszyngtonu do Camp David trwała 40 minut. Wysłano trzy helikoptery, które zabrały doradczynię do spraw bezpieczeństwa narodowego, szefa Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, sekretarza obrony i szefa sztabu sił zbrojnych. Wiceprezydent znajdował się na pokładzie Air Force Two, zataczającego kręgi nad Środkowym Zachodem, ale utrzymywał stały kontakt telefoniczny. – Rozmawiał z miejscowym dowódcą Gwardii Narodowej. Jego zespoły rozpoznawcze jak dotąd nie odnotowały żadnych śladów promieniowania ani impulsu elektromagnetycznego. Twierdzi też, że nie wygląda to na uderzenie meteorytu. Nie wiem, na ile pewne mogą być te informacje, najwyraźniej dowódca opierał się na opiniach jakiegoś podwładnego, zaś schematy uderzeń meteorytów nie należą do elementów ich szkoleń.

– Ten podwładny zgadza się w swoich opiniach z Federalną Agencją Zarządzania Kryzysowego –

zaznaczyła doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego. – A także Dowództwem Przestrzeni Powietrznej i Kosmicznej. Ślady nie wskazują na uderzenie meteorytu, a ja osobiście także mam wiele wątpliwości, jeśli chodzi o meteoryt trafiający dokładnie w ważną placówkę naukową.

– W takim razie, co to jest? – zapytał prezydent. Uciał sobie 20-minutową drzemkę, a teraz przechadzał się po pomieszczeniu tam i z powrotem, co chwila zerkając na ekran telewizora. – Jakie są szacowane straty?

– Nie mamy jeszcze takich danych – oświadczył szef Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Technicznie rzecz biorąc, powinien obarczyć tym raportem Federalną Agencję Zarządzania Kryzysowego (FEMA), ponieważ podlegała Departamentowi Bezpieczeństwa Narodowego. Ale lubił i szanował doradczynię do spraw bezpieczeństwa narodowego, więc nie robił z tego sprawy. Ponadto z natury był flegmatykiem – człowiekiem, który w kryzysie nigdy nie działał w pośpiechu, lecz zachowywał spokój oraz podejmował szybkie i rozsądne decyzje. Wielu sądziło, że został zatrudniony przez prezydenta, ponieważ był wcześniej gubernatorem stanu niezwykle ważnego w czasie kampanii wyborczej, w rzeczywistości jednak to jego spokojna i rzeczowa postawa zapewniła mu to stanowisko. – FEMA nie chce sporządzić nawet wstępnej analizy liczby ofiar, ale minimalna szacunkowa ocena, którą od nich wyciągnąłem, to około 50 tysięcy.

– Mój Boże – szepnął prezydent.

– Tak, sir, jest bardzo źle – przyznał szef bezpieczeństwa wewnętrznego. – Lecz sytuacja jest już opanowana, a lokalne służby kryzysowe spisują się tak dobrze, jak można się było spodziewać.

Zadzwoił telefon i specjalistka w dziedzinie bezpieczeństwa narodowego podniosła słuchawkę, po czym przekazała ją głowie państwa.

– Pański brat, sir.

– Cześć, Jeb – odezwał się prezydent opanowanym głosem. – To czarny dzień.

– Tak.

– Dobrze, natychmiast. Powodzenia i niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Oddał słuchawkę i skinął głową w kierunku szefa bezpieczeństwa wewnętrznego.

– To była oficjalna prośba od gubernatora, żeby ogłosić stan wyjątkowy. Myślę, że to się liczy.

– Przekażę to moim ludziom – odrzekł szef, po czym wstał i opuścił pokój.

Helikoptery stacji telewizyjnych, czające się nieopodal kuli pyłu, skupiły się na biało-zielonym śmigłowcu z symbolem urzędu szeryfa Orange County, który zbliżał się do miejsca tragedii. Widać było teraz obszar całkowicie ogołocony z wszelkiego życia, roślinności i zabudowań, choć pozostały fundamenty domów. Śmigłowiec zbliżył się powoli i unosząc się nisko nad gruntem wzbijał kurz z ziemi. Ten zaś dołączał do gigantycznego słupa pyłu, znoszonego przez wiatr w kierunku zachodnim.

– To pierwsze pomiary – poinformował cicho sekretarz obrony.

Krajowe Centrum Dowodzenia Wojskowego (NMCC) przesłało już swój wstępny bilans ofiar. NMCC dysponowało programami i protokołami do szacowania strat pochodzącymi jeszcze z okresu zimnej wojny. Analiza ta, poparta nowoczesnym komputerowym opracowaniem, wymagającym wyęźżonej pracy kilku wielkich serwerów przez niemal 50 minut, stwierdzała, że pierwsza ocena sytuacji, przedstawiona przez Federalną Agencję Zarządzania Kryzysowego, zdecydowanie zaniżała straty.

Niemalże o rząd wielkości.

\* \* \*

– Pobraliśmy właśnie trochę pyłu – zawołał Crichton, uchylając drzwi śmigłowca i wystawiając

pręcik licznika Geigera. – Tak trzymaj.

– Czy to na pewno bezpieczne? – krzyknął facet ze służb kryzysowych, przeciwchemiczny skafander tłumił jego głos, tak że był niemal niesłyszalny w huku łopat wirników.

– Nie – odpowiedział specjalista chemik. – Ale wolisz umrzeć w łóżku?

Gość ze służb kryzysowych, Bob jakoś nie zapamiętał jego nazwiska, zwykł zajmować się przypadkami skażenia środowiska na odcinku autostrady w Orlando. Wiedział wszystko o tym, jak poradzić sobie z przewróconą cysterną pełną fluorku węgla. Znał się nawet na zagadnieniach skażenia i oczyszczania składowanego materiału radioaktywnego. Jednak broń jądrowa zdecydowanie wykraczała poza jego normalny zakres prac.

To samo mógł powiedzieć Crichton. Ale przynajmniej miał podręczniki, którymi mógł się posłużyć. I potrafił ekspresowo wkuć niezbędną wiedzę, gdy tylko poznał szczegóły swojej misji. Znał na pamięć zasady dotyczące pomiarów naziemnych, jednak pomiary powietrzne zaledwie mgliście kojarzył z książek, a we wszystkich publikacjach zakładano, że śmigłowiec powinien być wyposażony w zewnętrzne systemy pomiarowe. Ta maszyna nie miała żadnych takich urządzeń, więc kartkując cały podręcznik, natrafił w końcu na fragment o „przeprowadzaniu w warunkach polowych doraźnych pomiarów z powietrza”. Był to opis znacznie mniej szczegółowy niż w przypadku standardowej misji. Zbliżyć się do strefy zniszczeń, utrzymując się od strony zawietrznej, wzniecić trochę kurzu i sprawdzić odczyty urządzeń. Gdyby okazało się, że jest gorąco, trzeba natychmiast zbierać dupę w troki.

Licznik pokazywał normalne odczyty.

– To nie broń jądrowa – mruknął.

– Co?! – wydarł się pilot. W maszynie istniała łączność wewnętrzna i hełmofony, ale nie pasowały na ich skafandry przeciwchemiczne.

– Jest czysto! – krzyknął w odpowiedzi. – Podleć bliżej.

– O ile bliżej?

– Tyle, ile się da – oświadczył. – Albo posadź helikopter i mnie wysadź!

Śmigłowiec powoli nachylił się nieco do przodu, gdy Bob trzymał swój licznik w podmuchu powietrza spod wirnika. Wciąż nic.

– Łąduj! – wrzasnął. – Jest czysto! Muszę zrobić pomiary na ziemi.

– Jesteś pewien?

– Nie ma żadnego skażenia!

– U mnie to samo – orzekł facet ze służb kryzysowych taksując pojrzeniem Crichtona. – To nie ma sensu!

– Nie ma, cholera – mruknął specjalista.

– Czekaście – wtrącił się drugi pilot. Obserwował przestrzeń przed maszyną, kiedy pierwszy pilot rozglądał się za jakimś względnie płaskim obszarem do lądowania. – Widać coś u podstawy tej chmury pyłu.

Podstawa obłoku pyłu była ciemna, gdyż kurz skutecznie przesłaniał światło, mimo iż słońce nawet nie dotarło do zenitu. Ale tuż przy powierzchni ziemi ziała jeszcze głębsza ciemność. Widniał tam także krater, przypominający do złudzenia olbrzymi lej po bombie. Mrok jednak wcale nie czaił się na dnie krateru. Nagły podmuch wiatru przepchnął nieco zwały pyłu na bok i odsłonił tę osobliwość. Była to kula atramentowej czerni, ciemniejszej niż przestrzeń międzygwiazdna w bezchmurną noc. Zdawała się wręcz pochłaniać światło wokół siebie. Co więcej unosiła się ponad kraterem, dokładnie tam, gdzie wcześniej musiała znajdować się powierzchnia ziemi.

– To wygląda na czarną dziurę! – wrzasnął drugi pilot. – Cofaj!

– Nie! – krzyknął Crichton. – Spójrzcie na pył! Gdyby to była czarna dziura, kurz sącyłby się do niej! – Podejrzewał zresztą, że gdyby znajdowała się tutaj tak duża czarna dziura, to śmigłowiec, większość Florydy, a może i cały świat, zostałyby zassane przez nią szybciej, niżby zdążyli się obejrzeć. Pył nie był przez nią absorbowany, ale mężczyzna spostrzegł, że wpadający w nią kurz nie wyłaniał się z powrotem.

– Powiadomię śmigłowce dziennikarskie i ściągnę jeden, żeby nakręcił materiał filmowy – zawołał pilot. – Jeśli jesteś pewien, że nie ma promieniowania.

Crichton zerknął na licznik ściskany w dłoni, o którym niemalże zapomniał, i pokręcił głową.

– Wciąż nic.

– W porządku! – odkrzyknął pilot, po czym zmienił częstotliwość i odezwał się przez radio.

Specjalista wyjrzał przez okno i zauważył, że jeden, tylko jeden helikopter podlatuje bliżej. Najwyraźniej pragnienie zdobycia sensacyjnego materiału nie przewyższało zdrowego rozsądku. Przeniósł wzrok z powrotem na dziwną kulę, nadal beczynn timer tkwiącą na swoim miejscu, a następnie wyrwał mu się okrzyk zdumienia. Coś z niej wypadło, uderzając o dno krateru.

Gigantyczny owad.

Nie.

To był... Miał czarne i czerwone ubarwienie, był cętkowany, choć nie tak jak biedronka, lecz podobny kolorystycznie. To był... nie potrafił dokładnie ocenić odległości i perspektywy. Nie mógł być tak wielki, jak się wydawał, ale jeśli nie był tak wielki, to pilot na przednim siedzeniu musiał być rozmiarów dziecka, zaś jego głowa wielkości piłki baseballowej. Bob potrząsnął głową, gdy stworzenie, korzystając z pomocy wielu odnóży, zaczęło się wiercić w miejscu i wreszcie stanęło na nogi. Miało kształt karalucha, barwę czerwono-czarną i więcej, znacznie więcej niż sześć nóg. Wyglądało... nienormalnie. Wszystko w tym stworze wydawało się nienormalne. Przeraził go bardziej niż jakikolwiek pająk, którego spotkał w swoim życiu – a na Florydzie egzystowało sporo całkiem dużych i jadowitych pająków.

To coś nie było z tego świata. Nie z tego czasu. Ani z żadnego minionego czasu. I miejmy nadzieję, że nie z przyszłości... Stwór pochodził z jakiegoś innego miejsca.

To była istota pozaziemska.

– Jasna cholera!



# ROZDZIAŁ DRUGI

– Większość kadry uniwersyteckiej prawdopodobnie znajdowała się poza kampusem, gdy doszło do tego incydentu – streścił swoje informacje facet z FBI. Federalne Biuro Śledcze należało do kilkunastu agencji rządowych starających się zrozumieć sens owego „incydentu”. Dotychczas nie przyłgnęła do niego żadna nazwa własna. Żadne „Pearl Harbor”, „19 września” czy „katastrofa Challengera”. Wciąż jeszcze był to „incydent”. Dzień jeszcze się nie skończył. Nazajutrz lub może dzień, dwa dni później jakiś wygadany dziennikarz wymyśli dla niego nazwę, która się przyjmie i wejdzie do powszechnego użycia. Póki co jednak ludzie ślęczący przed ekranami telewizorów oraz prowadzący nerwowe rozmowy telefoniczne z rodziną i przyjaciółmi odnosili się do tej katastrofy tak samo jak rzecznik Białego Domu – jako do „incydentu”. – Prawdopodobnie, ponieważ wiele spośród tych osób mieszkało w pobliżu kampusu – dodał gość z Federalnego Biura Śledczego. – Prezydent na szczęście przebywał w Winter Park, poza strefą rażenia, i skontaktował się z nim jeden z naszych agentów. W samym sercu tej eksplozji, gdzie teraz unosi się...

– Kula – podsunęła mu doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego. – Lub może dziura.

– Gdzie unosi się teraz... kula... mieściło się wcześniej laboratorium fizyki wielkich energii.

– Może więc to wypadek przemysłowy – rzekł prezydent Stanów Zjednoczonych, po czym roześmiał się nerwowo. Zapoznał się już z szacunkami strat przygotowanymi przez Departament Obrony, a także „uaktualnionymi” danymi z FEMA – wraz z upływem dnia oceny strat stawały się coraz bardziej tragiczne. – Matka wszystkich przemysłowych katastrof. Kto?

– Prezydent nie chciałby bezpośrednio wskazywać palcem winnego, ale uważamy, że przypuszczalnie może to być skutek nieudanego eksperymentu tego człowieka – orzekł wskazując widniejącą na monitorze twarz o nieco azjatyckich rysach. – Profesor Ray Chen, dyplom ukończenia studiów i doktorat z fizyki na Uniwersytecie Kalifornijskim. Pomimo wyglądu pochodzi z rodziny od trzech pokoleń amerykańskiej. Wcześniej zajmował stanowisko wykładowcy w MIT. Profesor zaawansowanej fizyki teoretycznej na Uniwersytecie Środkowej Florydy. Podobno przeniósł się tam, pomimo obniżki zarobków i nieco niższego prestiżu, ze względu na pogodę w Bostonie.

– Dlaczego nie wybrał Kalifornii? – zapytał prezydent i po chwili machnął ręką. – Zresztą nie ważne, to bez znaczenia.

– Tylko pozornie, panie prezydencie – odparła doradczyni. – Dzięki Bogu doszło do tego na Uniwersytecie Środkowej Florydy, a nie w Massachusetts Institute of Technology czy Jet Propulsion Laboratory w California Institute of Technology. Gdyby wypadek nastąpił w jednym z tych miejsc, ofiary śmiertelne sięgnęłyby miliona. A ja wiem co nieco o profesorze Chenie. Choć nie wystarczająco dużo.

– Bob – odezwał się przywódca państwa, zwracając się w stronę doradcy do spraw naukowych. Doradca naukowy nie należał zazwyczaj do najbliższego kręgu, ale tym razem wezwano go z oczywistych powodów. Miał jednak dyplomy naukowe w dziedzinie biologii molekularnej i immunologii; został więc wybrany ze względu na doświadczenie w dziedzinie broni biologicznej, na wypadek ataków terrorystycznych z jej użyciem. Wiedział, że nie należy do pierwszej ligi. – Doradca do spraw naukowych jest prawdopodobnie tak samo biegły w tej dziedzinie jak ja. Potrzebujemy fizyka i to szybko, naprawdę dobrego fizyka, który potrafi myśleć w biegu.

– Panie prezydencie? – rzucił sekretarz obrony. – Kiedy zlokalizowano epicentrum wybuchu w miejscu dawnego budynku Instytutu Fizyki Wielkich Energii, poleciłem moim ludziom sprowadzić jakiegoś fizyka. Ma doświadczenie w dziedzinie zaawansowanej fizyki teoretycznej i inżynierii oraz

wykonuje ściśle tajne projekty dla mojego departamentu. Jest konsultantem w dużej firmie zajmującej się dostawami usług i sprzętu dla wojska.

– Ile czasu... – zapytał z uśmiechem prezydent – to znaczy, jak szybko może tu dotrzeć?

– Jest już w budynku, sir – odpowiedział spokojnie sekretarz obrony. – Nie chcę wywierać nacisków, ale...

– Wprowadź go tutaj – przerwał mu zwierzchnik państwa.

– Jajogłowy z uniwersytetu – burknął szef bezpieczeństwa wewnętrznego, uśmiechając się krzywo, gdy czekali na fizyka. – Bez urazy – dodał na użytek doradcy do spraw naukowych.

– Nie wzięłem tego do siebie – rzekł naukowiec, który nie opublikował niczego od siedmiu lat. – Jakże on ma doświadczenie, panie sekretarzu?

– NASA, potem firmy wykonujące projekty na zlecenie wojska – wyjaśnił sekretarz uśmiechając się nieznacznie. – Doktorat z fizyki, inżynierii lotniczej, optyki, elektroniki i kilka innych specjalizacji. Całkiem bystry gość. Bardzo błyskotliwy i pełen zapału.

– Pewnie po pięćdziesiątce, łysiejący – dodał szef bezpieczeństwa wewnętrznego chichocząc. – 30 kilo nadwagi, wypchana kieszka koszuli, długopisy w pięciu kolorach i wielki kalkulator przy pasku.

Sekretarz obrony odpowiedział tylko uśmiechem.

Człowiek, który wszedł do pomieszczenia, minawszy agentów Secret Service, nie był zbyt wysoki. Miał jasnobrązowe włosy, nieco potargane i lekko ustępujące po obu stronach czoła. Poruszał się jak lekkoatleta lub mistrz sztuk walki, a jeśli ciążył mu jakiś tłuszcz na brzuchu, to nie było tego widać. Jego ramiona o osobliwie gładkiej skórze przeżyły się od mięśni. Miał jasnoniebieskie oczy i twarz o urodzie amanta filmowego. Nosił jasnozieloną jedwabną koszulę i wytarte dzinsy wypuszczone na wierzch kowbojskich butów.

– Panie i panowie, doktor William Weaver – przedstawił go sekretarz nieco rozbawionym głosem.

– Starszy specjalista z Columbia Defense Systems.

– Przepraszam za mój strój, panie prezydencie – odezwał się naukowiec, zajmując jeden z foteli na znak prezydenta. – Nie sądziłem, że będzie mi potrzebny garnitur w ten weekend; zostawiłem je wszystkie w domu. – Miał ledwie wyraźny, lecz zauważalny akcent południowca.

– To żaden problem – odparł prezydent machnąwszy ręką. W odróżnieniu od swojego poprzednika upierał się przy garniturach i krawatach w pracy i nigdy nie pozwalał sobie na zdjęcie urzędowego stroju w swoim gabinecie. Przebrał się, gdy tylko wrócił z Camp David. Wszyscy członkowie prezydenckiego sztabu nosili garnitury lub garsonki. – Gdzie pan mieszka? Nie jest pan z Waszyngtonu?

– Nie, sir. Mieszkam w Huntsville – oznajmił Weaver.

– Nie mamy zbyt wielu danych dla pana – orzekł przywódca Stanów Zjednoczonych. – Ale ten dzisiejszy incydent najwidoczniej miał początek w gmachu Instytutu Fizyki Wielkich Energii na terenie Uniwersytetu Środkowej Florydy. Podejrzewamy, że mogło to mieć jakiś związek z badaniami fizyka o nazwisku...

– Ray Chen – podpowiedziała doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego, która wciąż obserwowała nowoprzybyłego.

Naukowiec przymknął oczy i skrzywił się wyraźnie.

– Ray Chen z MIT? – zapytał, nie podnosząc powiek.

– Tak – potwierdziła kobieta.

– No to, wielkie gratulacje, Ray – rzucił fizyk w stronę sufitu. – Właśnie trafiłeś na karty podręczników. – Przeniósł wzrok z powrotem na prezydenta i zmarszczył brwi. – Mogę podjąć się



przedstawienia pewnej hipotezy. Co prawda tylko zgaduję, lecz robię to na podstawie posiadanych danych. Powiedzmy, wiarygodne na siedem stopni w skali od jednego do dziesięciu.

– Póki co, musi to wystarczyć – uznał prezydent. – Jak zła jest sytuacja?

– Nie aż tak zła, jak mogłaby być – odpowiedział Weaver, ewidentnie zastanawiając się nad tym, jak powinien sformułować swoje myśli. – Wszyscy mogliśmy po prostu zniknąć, jak gdyby nigdy nas tutaj nie było. To mało prawdopodobne, ale możliwe. Będę musiał to wyjaśnić i spróbuję przy tym zaznaczyć, w którym miejscu będę pozwał sobie na czyste spekulacje.

– Proszę bardzo – przystał na to przywódca opadając głębiej w swój fotel.

– Ray Chen pracował nad cząstką elementarną nazywaną bozonem Higgsa – zaczął naukowiec kręcąc głową. – Pierwsza rzecz, jaką należy mieć w pamięci, jest taka, że mechanika kwantowa może doprowadzić normalnego człowieka do szaleństwa, więc jeśli wyda się państwu, że gadam od rzeczy, to proszę mieć na uwadze, iż sama fizyka kwantowa jest szalona, nie ja. Bozon Higgsa to hipotetyczna cząstka elementarna nazwana na cześć szkockiego fizyka Petera Higgsa, który zaproponował ją jako sposób wytłumaczenia pewnych zjawisk zachodzących w fizyce wielkich energii i fizyce próżni. Niektórzy naukowcy, jak również pisarze specjalizujący się w fantastyce naukowej, wierzą, że zawiera ona w sobie cały wszechświat. Jeśli chodzi o mnie, to zawsze twierdziłem, że to tylko ponowne wynalezienie zjawiska fluktuacji energii, tak zwanych „drgań zerowych”.

– Ma pan na myśli galaktykę? – dopytywał się sekretarz obrony.

– Nie, panie sekretarzu, wszechświat. Całą fizykę składającą się na wszechświat, który nie jest taki sam jak ten, całą matematykę, wszystkie galaktyki, które się uformowały. Teoretycznie.

– To znaczy... – Szef bezpieczeństwa wewnętrznego przerwał chichocząc. – To nie obłąd, to fizyka, tak?

– Tak jest – potwierdził Weaver, skinąwszy przy tym głową. – Rzecz w tym, że one wymagają ogromnych poziomów energetycznych do uformowania się. CERN w Szwajcarii pracował nad nimi od dawien dawna i nie zdołał ich uzyskać. Ale z drugiej strony istnieje inna teoria, mówiąca, że kiedy taka cząstka się uformuje, może po prostu... pochłonąć ten wszechświat.

– Pochłonąć? – spytał szef państwa. – Czyli zastąpić?

– Mniej więcej, panie prezydencie – rzekł fizyk. – Dlatego właśnie powiedziałem, że sytuacja nie jest aż tak zła, jak mogłaby być. Moglibyśmy nawet nie zorientować się, co się stało, a już byłoby po wszystkim. Od lotów na Księżyc po portret Mony Lisy – wszystko by przepadło, tak jakby nigdy nie istniało. A razem z tym wszystko w całym wszechświecie. Największym argumentem przeciwko tej hipotezie jest fakt, że do tego nie doszło, a przecież coś, gdzieś w tym wielkim wszechświecie, musiało wytworzyć bozon Higgsa wcześniej.

– Rozumiem – podkreślił prezydent.

– Inna hipoteza mówi, że mogłoby dojść do otwarcia przejścia do innego wszechświata. Mam wrażenie, że możemy tutaj mieć do czynienia raczej z czymś takim. Takie przejście nie utrzymałoby się długo, nawet gdyby udało się je stworzyć. Choć wewnątrz tamtego wszechświata mógłby upłynąć cały jego czas. Istniałoby ono w tym uniwersum przez kilka nanosekund, w tamtym zaś przetrwałoby Wielki Wybuch, tworzenie się kosmosu, powszechne oziębienie, formowanie się gwiazd i planet, narodziny życia, rozszerzanie się i kurczenie. Miliardy lat w tamtym wszechświecie skompresowane w mniej czasu, niż zabiera komputerowi dodanie dwa plus dwa tutaj. Wiem, że jest pan człowiekiem bogobojnym, panie prezydencie, ale w przypadku teorii dotyczącej bozonu Higgsa, Bogiem mógł stać się Ray Chen, naciskający przycisk ze słowami: „Przekonajmy się, co się stanie”.

– Zatem pan rozumie, co się stało? – zapytał prezydent. – Jeśli takie są potencjalne skutki

podobnego eksperymentu, to dlaczego ktoś nad nim pracował?

– Cóż, rozpoznane negatywne skutki stanowiły bardzo niskie prawdopodobieństwo, panie prezydencie – odpowiedział Weaver. – Były badane wielokrotnie i ostatecznie stwierdzono, że można je zignorować. Ja sam je odrzuciłem i wciąż uważam, że postąpiłem słusznie. Normalnie przy wytworzeniu bozonu Higgsa nastąpiłby wielki rozbłysk światła, powstałyby pewne cząstki elementarne i byłoby po wszystkim. Możliwe, że nawet nie udałoby się potwierdzić, że rzeczywiście się tego dokonało. Jednak tak stałoby się w normalnych warunkach, które obejmują zastosowanie potężnych akceleratorów liniowych.

– Mieli kiedyś taki akcelerator na Uniwersytecie Środkowej Florydy – wtrącił agent FBI, zerknąwszy w swoje notatki. – Początkowo przypisywaliśmy eksplozję awarii takiego właśnie urządzenia.

– Co dowodzi, że nie pamiętacie fizyki ze szkoły średniej i nie macie kompletnego pojęcia o tych zagadnieniach – odparł naukowiec równie spokojnym tonem. – Coś takiego nie mogłoby powstać nawet w wielkim kolizjerze, a już na pewno nie w czterometrowym, znajdującym się na Uniwersytecie Środkowej Florydy. Poza tym w ogóle nie da się uzyskać bozonu Higgsa z czegoś takiego. Trzeba potężnego nadprzewodzącego superakceleratora, który został zbudowany w Waxahachie Teksasie. To był jeden z zaplanowanych tam eksperymentów. Lecz Ray Chen chciał sam stworzyć bozon Higgsa.

– Dlaczego, na Boga? – zdziwił się zwierzchnik Stanów Zjednoczonych. – Jeśli istniała możliwość, że zgładzi on całe życie na Ziemi?

– A dlaczego chce pan, panie prezydencie, żeby to pańska drużyna baseballowa wygrała najważniejsze rozgrywki? – spytał Weaver. – Poza tym utworzenie takiej cząstki i przypatrywanie się jej rozpadowi powiedziałyby nam bardzo wiele na temat prawideł funkcjonowania całego wszechświata. Zrozumieć fizykę, to pojąć wszystko, panie prezydencie. Wszystko, od telefonów komórkowych po GBU-43 MOAB, zwaną „matką wszystkich bomb”. A Ray był w tym dobry. Bardzo zdolny, nieco szalony w taki sposób, jaki jest niezbędny, by zrozumieć mechanikę kwantową. Czytałem artykuły, w których twierdził, że istnieje pewien sposób wytworzenia bozonu Higgsa „na skróty”. Nie będę się w to zagłębiał, ale Ray sądził, że w określonych warunkach można zmienić zasady fizyki na bardzo ograniczonym obszarze. I po takiej zmianie zasad fizyki można byłoby stworzyć bozon Higgsa. Odnoszę wrażenie, że to właśnie ta droga „na skróty” doprowadziła do tragedii.

– Twierdzi pan, że on zmienił prawa fizyki na małym obszarze? – zainteresowała się doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego. – Czy to mogło wywołać eksplozję?

– Być może – powiedział William. – Ale to mało prawdopodobne. Teraz mamy tam do czynienia z pewnym rodzajem bramy. Proszę wziąć pod uwagę, że są to tylko takie naukowe spekulacje, być może jednak doszło do jakiegoś przenicowania wszechświata, może wywróciło nas na drugą stronę.

– Co? – rzucił prezydent.

– Niech pan wyobrazi sobie balon, panie prezydencie – podsunął fizyk, marszcząc brwi w próbie przełożenia skomplikowanej teorii naukowej na jakąś czytelną i sensowną analogię. – Robi pan dziurę w balonie i ucieka z niego powietrze. Ale balon nadal istnieje. Teraz niech pan sięgnie przez dziurę do środka i przeciągnie przez nią balon. Wcześniej byliśmy na zewnątrz, teraz jesteśmy wewnątrz.

– To... – szef bezpieczeństwa wewnętrznego przerwał swój komentarz.

– ...szaleństwo, zgadzam się – dokończył jego myśl Weaver. – Rzecz w tym, że jeśli bozon Higgsa został wytworzony, to był to jakiś wszechświat. W nieodpowiednich warunkach moglibyśmy zostać

zassani przez ten wszechświat i stałby się on naszym „zewnętrznym” wszechświatem. Potrafię sobie wyobrazić pewne skutki uboczne czegoś takiego.

– Takie jak wybuch jądrowy – odpowiedziała cierpko kobieta.

– Takie jak bardzo potężne uwolnienie ogromnej ilości energii kinetycznej – powiedział naukowiec, skinąwszy głową. – Co wyglądałoby na potworną eksplozję jądrową. Lecz w tym momencie zapuszczamy się na teren spekulacji, ponieważ nie istnieje żadna teoria tłumacząca to, co obserwujemy. Ta wielka czarna dziura to mógłby być bozon Higgsa, ale nie odpowiada on teorii bozonu Higgsa ani hipotezom na temat skutków oddziaływania tej cząstki. Owszem, coś przesłania naszą stronę, coś, co mogło pochodzić z wszechświata bozonu Higgsa, jednak znów nie pasuje to do istniejącej teorii. Nie powinno być możliwe wskakiwanie lub wyskakiwanie z uniwersum. Poza tym fizyka także powinna być inna, na tyle odmienna, że albo zanikłaby natychmiast, albo doszłoby do eksplozji – co jest bardziej prawdopodobne. Nastąpiłby drugi wybuch podobny do jądrowego, ale znacznie potężniejszy, gdyż cała masa stworzenia zamieniłaby się w energię. Tak się nie stało. Powstała natomiast brama lub tunel czasoprzestrzenny. Najwyraźniej prowadzący na inną planetę. Być może na jakąś planetę w naszym wszechświecie. Być może na planetę istniejącą w przyszłości, ale najprawdopodobniej nie. Istotne pytania brzmią: Czy to jest stabilne? Czy po prostu zniknie? Czy będzie uwalniało energię z tamtej planety lub wszechświata do naszego świata? Czy się powiększa? Kurczy? A najciekawsze ze wszystkiego jest to, co jest po drugiej stronie? Inny świat? Może świat bram? Tutaj powstaje wielka przestrzeń otwarta na domysły.

– W porządku, mamy więc bramę, lecz brak teorii na temat przyczyn jej postania – dopytywała się doradczyni w zakresie bezpieczeństwa narodowego.

– Nie, proszę pani, mam pewien pomysł odnośnie do tego, jak mogła zostać uformowana, który opieram na artykułach Raya Chena. Dotyczy on raczej inżynierii niż fizyki, ale fizykę jesteśmy w stanie wywieść z niego w miarę szybko. Jeśli wie się już, że coś jest możliwe, a zwłaszcza jeżeli można to coś zbadać, to mamy dziewięć dziesiątych sukcesu. Choć może to wymagać doprowadzenia do podobnej eksplozji...

– Taką eksplozję potrafimy zorganizować – rzekł sekretarz obrony potakując głową. – Zakładając, że chodzi o wybuch w miejscu takim jak Los Alamos. Oczywiście na poligonach, nie w laboratorium.

– Muszę coś powiedzieć – prezydent podniósł nieco głos. – Nie chcę, żeby wykonywano ten pomysł aż do chwili, gdy lepiej zapanujemy nad sytuacją. Ani w MIT, ani w Kalifornii, ani nawet w Los Alamos. Mamy wystarczająco dużo problemów z terroryzmem. Nie chcę, żeby nasze miasta zamieniły się w fajerwerki. Nie chcę mieć na sumieniu śmierci kolejnych 250 000 ludzi.

– Przepraszam, panie prezydencie – rzekł Weaver – jeśli przekroczyłem swoje kompetencje.

– Nic nie szkodzi. Chciałem, żeby to było jasne – podkreślił rozmówca.

– Doktorze Weaver, mogę o coś spytać? – odezwał się doradca do spraw naukowych. – Dokumenty doktora Chena były ogólnodostępne?

– Nie, nie były, sir – odpowiedział fizyk potrząsając głową. – Gdyby były, prezydencki rozkaz w oczywisty sposób byłby niemożliwy.

– Gdzie pan...? – doradca naukowy przerwał nagle, widząc uniesione brwi sekretarza obrony.

– Doktor Weaver poprzez swoje powiązania z Departamentem Obrony ma dostęp do zastrzeżonych dokumentów...

– Chce pan powiedzieć, że to był projekt Departamentu Obrony? – spytał szef Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a jego tłusta twarz spurpurowiała ze złości. – Zatem w zasadzie to był projekt budowy bomby?

– Nie – kategorycznie odrzucił ten pomysł sekretarz. – Postarajmy się zostawić plotki prasie,

dobrze? Doktor Chen otrzymał fundusze z Państwowej Akademii Nauk – wyjaśnił, wskazując na doradcę naukowego, który w jednej chwili zbladł. – Od co najmniej trzech organizacji pozarządowych oraz od Departamentu Obrony. Były to głównie środki prywatne. Jednak ze względu na fundusze z Departamentu Obrony, przeznaczone na konkretne cele, musiał utajniać przedkładane nam raporty i plany. Nie mam pewności, czy wszystko jest dostępne, lecz wszystko w ciągu ostatniego roku było ściśle tajne. Szczerze mówiąc, nie wiem nawet dlaczego i jak otrzymał fundusze od nas. Ale przecież finansowaliśmy już parę czysto teoretycznych projektów, które czasami się opłacały.

– To właśnie te utajnione dokumenty pan widział? – zapytał prezydent.

– Tak, sir – odpowiedział Weaver. – Interesowałem się fizyką. Jeśli udałoby się zmienić prawa fizyki na pewnym obszarze, można by dokonać wielu rzeczy. Nie przewidziałem takiego rodzaju eksplozji, gdyż inaczej uderzyłbym na alarm. Ale istnieje wiele innych zastosowań. Na przykład zmiana grawitacji na ograniczonym obszarze umożliwia opracowanie lepszego śmigłowca. Nie wspominając o kwestii odciążenia ekwipunku piechoty. Jeśli zmieni się fizykę w niewłaściwy sposób, to, owszem, można spowodować wybuch. Ja myślałem głównie o konkretnych zastosowaniach, które mógłbym przedłożyć ludziom opłacającym moją pensję, panie prezydencie. Ponadto fascynowała mnie matematyka. Lecz nie przewidziałem tego wszystkiego.

– W porządku, mamy więc bramę i fizykę, której nie rozumiemy, ale możemy za pewien czas zrozumieć – orzekła doradczyni. – Ale ponieważ póki co nie rozumiemy tej fizyki, nie wiemy, jakie mogą być skutki.

– Nie, proszę pani.

– Mimo to najwyraźniej po drugiej stronie znajduje się jakiś inny świat – powiedział szef państwa.

– Doktorze Weaver, czy chciałby pan się tam udać? Zakładając, że w tym drugim świecie panują warunki, w jakich człowiek jest w stanie przeżyć?

– Sir, potrzeba by całego plutonu marines, żeby powstrzymać mnie przed przejściem przez tę bramę.

– Wiedziałem, że pan tak powie – skwitował jego słowa sekretarz obrony z nikłym uśmiechem.

\* \* \*

– Jestem specjali... sierżant Crichton, sir – rzekł Crichton, salutując przed oficerem marynarki wojennej w pustynnym kamuflażu. – To ja jestem tym facetem pokazywanym w NBC, który przeprowadził pierwsze pomiary.

– Porucznik Glasser – przedstawił się komandos z morskiej grupy desantowej marynarki wojennej US Navy SEAL, salutując, a następnie ściskając mu dłoń. – Widziałem tę akcję; dobra robota.

– Dziękuję, sir – odrzekł specjalista.

Wiedział, że woda sodowa zaczyna mu uderzać do głowy, ale nie miał pojęcia, co z tym zrobić. W końcu sam dowódca batalionu przekazał mu słowa pochwały od szefa sztabu. Jego ocena sytuacji, że nie była to broń jądrowa ani asteroida, lecz brama, znacznie wyprzedziła ocenę FEMA, rządowego doradcy naukowego i Bóg wie kogo jeszcze. Teraz zaś usłyszał komplement od komandosa z Navy SEAL.

Glasser tylko skinął głową i spojrzał na dziurę. Morska grupa desantowa była w bazie sił powietrznych McDill w Tampa, siedzibie Dowództwa Operacji Specjalnych (SOCOM), gdzie odstawiła cyrk, odczytując sprawozdania przed nowym dowódcą. Takiego gówna „Foki”, jak nazywano komandosów z morskiej grupy desantowej, na ogół byli w stanie uniknąć, jednak nowym dowódcą SOCOM został zielony beret, żołnierz sił specjalnych wojsk lądowych USA, który miał ograniczone doświadczenie w dowodzeniu lub zarządzaniu oddziałami Navy SEAL i większości

pozostałych formacji wojskowych, jakie znalazły się pod jego komendą. Wybrano morską grupę desantową, ponieważ znajdowała się w terenie, nie robiąc przy tym niczego ważnego, i miała rozległe doświadczenie – począwszy od starszego sierżanta sztabowego Millera, który był komandosem w Navy SEAL chyba od swojego chrztu i uczestniczył we wszystkich akcjach od czasów Grenady, po starszego szeregowego Sansona, który wciąż jeszcze nie wysypał z butów piasków Coronado.

Zresztą żaden z nich nie zdążył choćby wypastować swoich butów, zanim zostali załadowani na ciężarówkę i przejechali do Orlando w konwoju policyjnym z prędkością ponad 200 kilometrów na godzinę, po czym zostali wyrzuceni na przejmującym pustkowiu, podejrzanie przypominającym Bejrut. W telewizji udało im się zobaczyć tyle, że mogli się z grubsza zorientować, co się dzieje. Nie mieli jednak zbyt wiele do oglądania poza bandą żołnierzy Gwardii Narodowej, stojących w pobliżu i popijających kawę w świetle jarzeniowych reflektorów.

No i poza kulą.

– Jeśli dojdzie do penetracji kuli, to znaczy od naszej strony, to bierzemy zadanie na siebie – oświadczył Glasser. – Nie ma w tym przypadku stałych procedur operacyjnych, to zabawa w science-fiction. Czytuje pan fantastykę naukową?

Crichton nie był pewien, co odpowiedzieć. Większość oficerów wojska śmiertelnie nie znosiła fantastyki naukowej. Porucznikowi jednak to raczej nie przeszkadzało.

– Ja kiedyś czytałem – zamyślił się porucznik Glasser. – Czytałem dużo. Bardzo niepokoi mnie biologiczne czy chemiczne skażenie. Co się stało z tym robalem?

– Są teraz dwa robale, sir – odpowiedział Bob Crichton, biorąc łyk kawy. – Sierżant Grant i ja wyciągnęliśmy je oba z dziury. Mieliśmy na sobie odzież ochronną i przeszliśmy potem dekontaminację.

– Piana odkażająca może nie działać na robale z innego świata – zaznaczył żołnierz z Navy SEAL. – Tak jak mówiłem, brak stałych procedur operacyjnych.

– Racja, sir, ale użyliśmy także wybielacza – rzekł specjalista z satysfakcją. – Sir, jeśli to coś wytrzyma działanie wybielacza, nie sądzę, by mogło przetrwać w tym świecie.

– Gdzie są robale? – spytał komandos, ignorując tę uwagę.

– Razem z sierżantem obwiązaliśmy je taśmą klejącą, a potem wrzuciliśmy na pakę humveego, na którym zaciemniliśmy wszystkie szyby i wywiesiliśmy wielkie napisy, żeby go nie otwierać. Ale one są martwe, sir. Po chwili spazmów przestały się ruszać.

– Pewnie coś po tej stronie okazało się dla nich trujące – powiedział Glasser. – Co jest pierwszą dobrą nowiną dzisiaj. Ale jednocześnie złą, jako że to nie oznacza, że tamta strona nie jest trująca dla nas. Ma pan jakieś pomysły?

– Nie, sir – odparł Crichton. – Poruszały się całkiem sprawnie i okazały się bardzo silne. Sierżant Grant pomógł mi – zazwyczaj pracuje on na farmie krokodyli, mocując się z aligatorami. Musieliśmy obaj nieźle się napracować, żeby obwisać je taśmą. Nie atakowały nas ani nie walczyły, jednak przypominało to przejażdżkę na słoniu, jeśli wie pan, co mam na myśli; po prostu wydawało się, że nie czują naszego ciężaru, nawet ten mniejszy. Gdybym miał zgadywać, sir, powiedziałbym, że po tamtej stronie istnieje jakiś świat o większej grawitacji, zaś zabiło je prawdopodobnie coś w naszej atmosferze, dwutlenek węgla lub tlen. To tylko strzał w ciemno, sir. Obszedłem ze wszystkich stron tę kulę i sprawdziłem odczyty, lecz moje instrumenty nie wykryły niczego niebezpiecznego wydobywającego się z wnętrza.

– Pan jednak czytuje science-fiction – zauważył porucznik uśmiechając się do niego. – Crichton, tak?

– Tak, sir. Czasem czytam, o ile mam wolną chwilę.

– Moi chłopcy mogą ubić wszystko, co zobaczą – rzucił żołnierz morskiej grupy desantowej, nieco zamyślony. – Potrafią poruszać się jak żywe srebro, dotrzeć wszędzie, wykonać każde polecenie. Ale z wyjątkiem starszego sierżanta sztabowego, który rytualnie czyta „Kawalerię kosmosu” raz przed każdą misją zamorską, chyba ani jeden nie przeczytał żadnej powieści fantastycznej. Zapewne też nie myśleli o tym, jak inny od naszego może być świat obcych. Co pan na to?

– Lepiej, żeby pan ich wprowadził w to zagadnienie, sir.

– Raczej my, sierżancie. Lepiej żebyśmy ich w to wprowadzili. Proszę mi wierzyć lub nie, ale „Foki” mają skłonność do tego, by słuchać tylko tych ludzi, którzy wiedzą, o czym mówią. A wbrew powszechnej opinii są dość bystrzy. Co może wiele zmienić. Albo nie zmienić niczego.

\* \* \*

Symbol wywoławczy międzynarodowego portu lotniczego Orlando brzmiał MCO. Był to skrót od McCoy. Wcześniej była to bowiem baza sił powietrznych McCoy – kiedy bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych w obliczu radzieckiego arsenału atomowego polegało na doktrynie wzajemnie zapewnionego zniszczenia (MAD), zaś bombowce dalekiego zasięgu stanowiły jedną z trzech podstaw tego wiążanego układu.

W miarę jak Orlando się rozrastało i nabierało znaczenia, przekształcając się z małego prowincjonalnego miasteczka z paroma firmami zajmującymi się obronnością w ośrodek badań i rozrywki, powiększało się także MCO, gdzie odbywało się coraz więcej lotów, zwiększając tłok na płycie lotniska. W końcu pojawiły się nowe pasy startowe. Głównymi pasami pozostały jednak te, które zbudowano już w latach 50., gdyż były one bardziej niż odpowiednie do obsługi F-15. A taką właśnie maszyną doktor Weaver dotarł z bazy sił powietrznych Andrews – ten lot miał zresztą zapamiętać na długo.

Regulacje Federalnego Zarządu Lotnictwa Cywilnego (FAA) zakazywały wojskowym odrzutowcom przekraczać barierę dźwięku nad terenami zamieszkanymi. Piloci odrzutowców ponaddźwiękowych musieli więc ograniczać się do trenowania nad wodą lub wyludnionymi obszarami pustynnymi.

Bill Weaver latał już wcześniej F-15, włącznie z wykonywaniem akrobacji powietrznych specjalnie po to, żeby doprowadzić się do mdłości. Nie udawało się. Tym razem jednak było zupełnie inaczej. F-15 niosąc dodatkowe zbiorniki paliwa pod skrzydłami, wzbił się na odpowiednią wysokość, wykorzystując coś, co określa się jako „maksymalny wojskowy ciąg”. Ponieważ F-15 należy do niewielu samolotów na świecie, które mają większą siłę ciągu niż masę, oznaczało to dosłownie pionowe wzbijanie się przez półtorej minuty. Przypominało to zapewne coś, co wyobrażamy sobie jako start wahadłowca kosmicznego, gdyby tylko w wahadłowcu można było rozglądać się we wszystkich kierunkach. Kiedy maszyna osiągnęła optymalną wysokość niemal 20 000 metrów, zwróciła się na południe, zaś pilot wcisnął dopalacze do maksimum. Z tej wysokości prawie nie sposób wyczuć zmiany ruchu w stosunku do powierzchni ziemi. Podczas gdy z ziemi wydaje się, że odrzutowiec leci bardzo powoli, tak samo z perspektywy odrzutowca wszystko na ziemi wydaje się bardzo stabilne. Ale bynajmniej tak nie jest przy prędkości 3 Machów. Upłynęło 30 minut od chwili, gdy pilot zrobił zwrot ku południu, a już wykonywał manewr wyrównania samolotu przed przyziemieniem i szykował się do lądowania w Orlando. Ziemia, która z tak dużej wysokości ma wyraźną krzywiznę, zdawała się zmienić nieco swój ruch obrotowy od zachodu na wschód i z południa na północ. Bill odczuwał całkowitą pewność, że nawet przelatując na znacznej wysokości, zostawili za sobą ślad roztrzaskanych szyb.

Nie rozmawiano zbyt wiele. Personel naziemny pomógł mu wbić się w skafander przeciw

przeciążeniom i nałożyć nakrycie głowy, wyjaśnił znaczenie dwóch przełączników, których wolno mu dotykać, pokazał spust katapulty, który można było uruchomić tylko w obliczu oczywistych okoliczności. Pilot miał równie mało do powiedzenia.

– Mogę spytać, kim pan jest? – zainteresował się pilot, podpułkownik, kiedy osiągnęli wysokość przelotową i miazdzące kości przyspieszenie nieco zelżało.

– Jestem jajogłowym z uniwersytetu – odpowiedział Bill, zachwycając się widokiem za oknem. Słońce wisiało nisko nad ziemią na zachodzie, ale oni wciąż trzymali się na takiej wysokości, gdzie docierało dużo światła słonecznego. Poza tym znaleźli się na tyle wysoko, że niebo miało barwę fioletu i można było oglądać gwiazdy. Nigdy wcześniej nie był tak blisko przestrzeni kosmicznej, a od dziecka marzył, by tam polecieć.

– Spróbuj nabrać kogoś innego – powiedział rozmówca.

– Nie, poważnie, wysyłają mnie do Orlando, żebym się temu przyjrzał. Jestem fizykiem.

– Domyśliłem się, że nie wysyłają cię do Disney World, ale nie wyglądasz mi na naukowca.

– Musisz częściej spędzać czas w barach w Huntsville.

Doktor słyszał to już kiedyś. Jeśli ma się południowy akcent i wygląda się jak trener futbolu amerykańskiego, wszyscy zakładają, że stroisz sobie żarty. Ale na poziomie fizyki, która była jego specjalnością, możesz wykonać równie wiele „pracy”, uprawiając kolarstwo górskie, nurkowanie bez akwalungu czy wspinaczkę skałkową, jak również siedzieć w zaciemnionej biurze za zamkniętymi drzwiami i ze zdjętymi ciuchami kontemplując własny pępek. Czemuś takiemu właśnie oddawał się jeden z jego znajomych z uczelni. Wszystko układa się w głowie, aż przychodzi czas, by usiąść i zacząć kreślić równania, które, jeśli wcześniej wykonało się odpowiednią gimnastykę umysłową, w zasadzie piszą się same. Jeżeli zaś dodatkowo przyszło się na świat z ciałem wymagającym zaledwie dwóch godzin snu nocą, umysłem niczym zaawansowane liczydło oraz poziomem energii znerwicowanego chomika, to trzeba znaleźć jakiś sposób na spalenie tej całej energii fizycznej i mentalnej. Tak więc Bill uprawiał kolarstwo górskie, udzielał konsultacji Departamentowi Obrony, jeździł na krajowe turnieje kung-fu stylu Wah Lum, a od czasu do czasu stawał przed białą tablicą na kilka godzin. Potem przez trzy dni zamykał się w pokoju, pisząc dokument o objętości 30 000 słów, który wysyłał do *National Journal of Physics and Science* z niezmaconą pewnością, że przejdzie on etap recenzji naukowej i zostanie opublikowany.

Wielu spośród jego znajomych odnosiło się do niego żartobliwie jako do „niezmordowanego sukinsyna”.

Ostatnio zastanawiał się nad pójściem na jakąś uczelnię, żeby zrobić kolejny doktorat. Jedyne pytanie brzmiało: w jakiej dziedzinie? Dupna fizyka, czyli dla niewtajemniczonych astrofizyka, odpadała. Całe to środowisko stanowili jajogłowi, nie potrafiący oddzielić rzeczywistości od wyobraźni, zaś większość z nich w swoich fantazjach skłaniała się ku liberalnej stronie sceny politycznej. Może inżynieria atomowa, ale jedyną uczelnią, która miała taki wydział, był MIT. Ble. Wśród innych dziwactw Weaver był wiernym, zagorzałym konserwatystą w sferze polityki i miał poważne militarne zacięcie. Rok, czyli tyle, ile by mu to zajęło, zamiast „zalecanych” trzech lat, w Ludowej Republice Massachusetts, to było więcej, niż potrafiłby znieść.

Może genetyka albo biologia molekularna – małe urozmaicenie specjalizacji.

Lecz to było wczoraj, przed „incydentem”. Jeśli właśnie nie otwierała się całkiem nowa, wielka dziedzina fizyki, to już zupełnie stracił nosa. A przecież znajdował się praktycznie w miejscu jej narodzin.

Matematyka jednak prawdopodobnie da mu popalić. Na pewnym poziomie nawet najbardziej lotni fizycy niekiedy musieli ustąpić przed gośćmi parającymi się czystą matematyką. Na przykład Ray

Chen był człowiekiem, do którego należało się zgłosić o pomoc w zakresie pomiarów cząstek elementarnych i wielowymiarowych równań pola, ale nawet on kilka razy musiał pochylić głowę i skonsultować się z pewnym matematykiem z Wielkiej Brytanii. Jak on się nazywał? Gonzales? Coś w tym stylu.

Fizyk układał w myślach listę ludzi, z którymi przypuszczalnie będzie musiał się skonsultować, gdy zorientował się, że podpułkownik zaczyna już zniżać samolot przed lądowaniem. Ledwie zrobił ostatni zwrot, wykonał podejście na pełnej mocy. Musieli usunąć wszystkie inne maszyny z drogi odrzutowca. Pilot wyrównał maszynę przed przyziemieniem, uruchomił przeciwny ciąg silnika, po czym opadł na pas lądowiska tak gwałtownie, że wydawało się, iż przekoziółkuje.

– Spiesz się pan, pułkowniku? – zapytał naukowiec.

– Bardzo – odpowiedział pilot. – W czasie lotu dostałem nawet dwukrotnie rozkaz przyspieszenia. Ktoś bardzo pilnie tu pana potrzebuje.

– Cóż, dzięki za przejażdżkę, mam nadzieję, że to kiedyś powtórzymy.

Na samolot oczekiwali żołnierze, najwyraźniej nie mający pojęcia, jak rozpiąć wszystkie klamry i rozsypać linki, które przytrzymały go na miejscu. Pilot rozpiął się i go wyplątał, po czym zeskoczył z myśliwca na lądowisko.

– Pan Weaver? – odezwał się jeden z żołnierzy. – Jestem sierżant Garcia. Proszę tędy.

– Mogę wydobyć się z tego skafandra? – spytał Bill rozpinając jeden z suwaków. Sięgnął i zdołał otworzyć niewielki przedział, gdzie wcześniej umieszczono jego torbę. Wetknął skafander antyprzeciążeniowy do odpowiedniej przegrody i wyciągnął plecak, a następnie pomaszerował do czekającego nań samochodu.

– Rozumiem, że wie pan, co tu się dzieje – powiedział sierżant wdrapując się na siedzenie kierowcy. Drugi żołnierz wskoczył na tylne siedzenie.

– Nie bardzo – odrzekł. – Ale rozumiem, co się mogło stać, i mam kilka teorii na temat tego, co się dzieje i co się może wydarzyć. I znam kilka pytań, na które trzeba odpowiedzieć. Poza tym jestem w kropce.

Sierżant Garcia zaśmiał się i potrząsnął głową.

– Może pan to wyjaśnić po ludzku?

– Raczej nie, chyba, że wie pan, co to jest bozon Higgosa – oznajmił Bill, świadom, iż będzie to musiał tłumaczyć jeszcze wielokrotnie.

– Jest to hipotetyczna cząstka elementarna w mechanice kwantowej, która może zawierać wszechświat – odparował żołnierz. – Ale nie można ich utworzyć, jeśli nie ma się naprawdę potężnego superakceleratora. Zgadza się?

– Zgadza – przyznał naukowiec spoglądając na rozmówcę ze szczerym zdumieniem. – Czy ktoś dzwonił już w tej sprawie?

– Nie – odparł sierżant skręcając w Greenway. Raz w życiu ulica była prawie pusta. Następnie udał się ulicą Sunpass, mimo iż nie miał transpondera. – Pracowałem nad magisterium z fizyki, gdy wszystko się pochrzało. W zasadzie to studiowałem optykę.

– Ja mam doktorat z optyki – rzekł Bill. – I z fizyki też.

– Proszę mi wybaczyć, doktorze, nie wiedziałem – podkreślił krzywiąc się Garcia.

– Nie wymagam, żeby wszyscy nazywali mnie doktorem, sierżancie – odparł z uśmiechem. – Jestem tylko przededukowanym facetem z prowincji, nie jakimś wymuskany akademikiem. Jak więc trafił pan do Gwardii Narodowej?

– Długa historia – rzekł sierżant. Po chwili wzruszył ramionami. – Pracowałem nad moim magisterium na temat niebieskich laserów. Na jednym z zajęć musiałem dokonać recenzji naukowej



artykułu przeznaczanego do publikacji. Zna pan tę procedurę.

– Jasne.

– Nie mogłem przeprowadzać swoich eksperymentów z laserami tak długo, jak chciałem, więc popełniłem pewien błąd. Zmęczyło mnie gadanie o likwidacji zakładów wyzyskujących energię nuklearną, więc przeprowadziłem studium porównawcze poziomu radioaktywnych odpadów z elektrowni atomowej w Turkey Creek z ogromną elektrownią węglową na wschód od Orlando.

– Proszę pominąć wnioski – mruknął Weaver. – Węgiel to naprawdę brudne świństwo.

– Wiedziałem o tym i pan o tym wie, ale przeprowadziłem badania, po czym okazało się, że nie ma ani jednej zrecenzowanej pracy porównawczej.

– Ani jednej?

– Ani jednej. Wykonałem więc testy i okazało się, że w okolicy Turkey Creek nie ma żadnego wykrywalnego promieniowania, zaś w sąsiedztwie elektrowni węglowej było go tyle, że można by spokojnie upiec kurczaka, a przy okazji odpady te trafiały wprost do pobliskiej strumienia. Przedstawiłem swoje wyniki badań. Przesłałem je do magazynu „Physics”. Otrzymałem odpowiedź po miesiącu. Artykuł został odrzucony przez recenzentów naukowych. Nie przyjęto go do druku. Podobno chodziło o to, że miałem pewne kompetencje w zakresie optyki, ale nie fizyki jądrowej.

– To... dziwne – rzekł Bill. – Coś mi tu śmierdzi.

– Też tak pomyślałem. Zwłaszcza, gdy wkrótce potem zostałem skreślony z listy studentów. Nikt nie chciał ze mną rozmawiać z wyjątkiem jednego profesora, który kazał mi przysiąc, że nie zdradzę żadnego nazwiska, bo będzie jeszcze większy smród. Choć mi było już oczywiście wszystko jedno. Zna pan senatora z Zachodniej Wirginii?

– O nie – rzekł fizyk zamykając oczy. – Król węgla.

– Dokładnie. Najwyraźniej zawarł układ już w latach 60. Floryda otrzymała cały kompleks NASA, lecz do jego zasilania musiała zbudować elektrownię na węgiel. I musiała ją utrzymać. Chroni węgiel tak, jakby to było jego własne dziecko, co poniekąd, jak podejrzewam, jest prawdą. Tak czy inaczej, młody fizyk bez dyplomu ściągnął osobisty gniew wpływowego senatora. Senator stwierdził, że ów naukowiec musi odejść z uczelni natychmiast. Proszę, nie kłopotz się składaniem papierów na inne uczelnie wyższe. Jesteś najsłabszym ogniwem. Żegnaj.

– Nie znoszę polityki – wyznał Weaver i wzdrygnął się. – Ale to właśnie dlatego Huntsville ma ośrodek wojskowy Redstone Arsenal, a Houston ma ośrodek kontroli lotów kosmicznych Space Center. Ponieważ zdobyłem wykształcenie dzięki temu pierwszemu, sądzę, że nie powinienem specjalnie narzekać. Jednak muszę przyznać, że to śmierdząca historia. Z drugiej strony dla mnie to nawet lepiej.

– Dlaczego?

– Będziemy musieli zmierzyć to coś, a ja mam żołnierza, który potrafi obsługiwać sprzęt laserowy. To wielka pomoc.

– W porządku – rzekł mężczyzna chichocząc. – Czy dostanę podwyżkę?

– Wątpię – przyznał Bill. – Ale zobaczymy. Myślał pan kiedyś o podróży na inne planety?

– Trzeba by mnie było siłą przeciągnąć przez tę bramę – oświadczył sierżant. – Widziałem te robaki. Nie chciałbym znaleźć się na planecie, na której one żyją. To gorsze niż arachnofobia. Chciałem zwinąć się w kłębek i wyć. Nie mam pojęcia, jak Crichton i Grant byli w stanie ich dotykać.

– Dotykać? A skażenie?

– Proszę poczekać, aż będziemy na miejscu, doktorze – powiedział żołnierz. Zjechał na podjazd prowadzący na University Boulevard. Kierowano ich pomiędzy punktami kontrolnymi, a podjazd

z grubsza oczyszczono z gruzu. Ale droga mimo to była trudna.

University Boulevard to czteropasmowa autostrada powiązana z licznymi drogami bocznymi i lokalnymi osiedlami mieszkalnymi. Jeden pas ruchu częściowo oczyściła armia cywilnych buldożerów i wojsko, a kilka pojazdów służb kryzysowych przedzierało się teraz tym jedynym przejezdnym pasem. Przedmieścia po obu stronach zostały zniszczone, jak gdyby uderzeniem potężnego huraganu. Gdy posuwali się dalej na wschód, stawało się jeszcze gorzej, aż dotarli do obszaru, który został całkowicie ogołocony z wszelkiej roślinności za wyjątkiem kęp grubej trawy. Został także oczyszczony ze wszystkich domostw aż po fundamenty. Bill potrząsnął głową, gdy zaczął w pamięci podliczać liczbę zgładzonych ludzkich istnień. Rodziny, dzieci, psy, koty, ryby, ptaki na drzewach i same drzewa – wszystko to znikło. To było wstrząsające i przerażające, a po kilku chwilach stało się tak przytłaczające, że umysł zaczynał odmawiać posłuszeństwa.

– Cieszę się, że nasza kompania zabezpieczyła to miejsce – rzekł Garcia, zauważając, jak Weaver przygląda się zniszczeniom.

– Dlaczego?

– Wszystkie inne kompanie znajdujące się w pobliżu wycofano do akcji poszukiwania i ratowania ofiar.

\* \* \*

Crichtonowi w końcu nadarzyła się okazja, by zdjąć strój ochronny i wrzucić coś na ząb. Batalion udał się do restauracji Dominos Pizza na Kirkman Road, jednej z największych w kraju, i dostał od jej właścicieli pizzę dla całej Kompanii Charlie po kosztach. Gdy Bob wreszcie dostał kawałek, wszystko było już zimne. Niemniej jednak to jakieś pożywienie, pomyślał, wgrzyzając się w ciasto z serem, stanowiące pierwszy posiłek w ciągu całego dnia od chwili wrzucenia kilku sucharów na śniadanie. Znalazł trochę gruzu, fundamenty jednego z budynków uniwersyteckich, usiadł i zaczął właśnie obserwować aktywność wokół dziury, gdy dosłyszał cichy głos.

– Przepraszam...

Odwrócił się i na skraju światła sączącego się z jarzeniowych reflektorów ujrzał małe dziecko, sądząc po ubranku i fryzurze, dziewczynkę, która pilnie mu się przyglądała. W ramionach ścisnęła coś, co wyglądało na wypchanego zwierzaka, może jakiegoś „potwora”. W każdym razie wyglądało na wypchanego stworza do chwili, gdy wygrzebało się z uścisku i wskoczyło jej na ramię.

– Cześć – odezwał się tak spokojnie, jak tylko zdołał. – Skąd jesteś?

– Z domu – powiedziała dziewczynka. – Jestem głodna.

– Jak się nazywasz?

– Mimi Jones, mieszkam przy Mendel Road 12138, Orlando, Floryda, 32826.

– Zgubiłaś się? – zapytał. Próbował przypomnieć sobie, gdzie jest Mendel Road i zastanawiał się, kto mógłby odprowadzić dziewczynkę do rodziców, zakładając, że żyją. Wyglądało na to, że nie odniosła żadnych obrażeń, zatem niemożliwe, by znajdowała się na obszarze eksplozji. Ale przecież nie ocalało nic w promieniu ponad kilometra od epicentrum. Jeśli więc przyszła spoza pierścienia wybuchu, to musiała pokonać kawał drogi.

– Tak – odpowiedziała. – Nie mogłam znaleźć mojego domu ani mojej mamy. A mama mówiła mi, żebym nie rozmawiała z nieznajomymi, ale pewnego razu, gdy byliśmy w supermarkecie, powiedziała też, że żołnierze są w porządku.

– Jest tutaj także policjant – oznajmił specjalista wstając. – Na pewno uda mu się znaleźć twoją mamę. I znajdziemy ci coś do jedzenia. Chodź.

Chciał zapytać małą, co ma na ramieniu, ale uznał, że może lepiej poczekać, aż wyjdą na światło dzienne i przyjrzeć się temu nieco dokładniej. Mogła to być jedna z tych mechanicznych zabawek,

które stanowiły najnowszy krzyk mody.

W świetle stwór wcale nie prezentował się lepiej. Niemal całkowicie pokrywało go futro, za wyjątkiem krótkich, jakoś głupawo wyglądających łap. Miał ich mniej więcej dziesięć, rozmieszczonych w równej odległości od siebie wokół całego korpusu. Nie stwarzał najmniejszego zagrożenia, po prostu siedział sobie na jej ramieniu.

Wóz dowodzenia zaparkowano na skraju oświetlonej strefy, więc Crichton zaprowadził dziewczynkę do grupy stojącej z drugiej strony samochodu. Znajdował się tam Weaver i dowódca „Fok” z jakimś sierżantem z urzędu szeryfa Orange County, wysłanym w charakterze łącznika. Była tam również jakaś kobieta, której nie widział wcześniej, wysoka brunetka, dokładne przeciwieństwo grubaski, z długimi, kasztanowymi włosami. Miała na sobie dzinsy i flanelową, roboczą koszulę.

– Cześć – powiedział, gdy się zbliżył. – Ta dziewczynka właśnie do mnie podeszła. Zdaje się, że jest z obszaru „incydentu”. Mówi, że ma na imię Mimi.

– Cześć, Mimi – odezwała się kobieta, przykucnąwszy przed nią. – Jestem doktor McBain. Nie jestem takim doktorem, jakiego pewnie masz na myśli, jestem biologiem. Studiuję rośliny i zwierzęta. A to jest doktor Weaver, on bada gwiazdy i różne inne ciekawe zjawiska. Jak ty się nazywasz? Znasz swój adres?

– Jestem Mimi Jones, mieszkam przy Mendel Road 12138, Orlando, Floryda, 32826 – ponownie wyrecytowało dziecko.

– A co masz na ramieniu? – spytała McBain przyglądając się temu czemuś czujnie.

– To mój przyjaciel – oświadczyła Mimi głaszcząc stwora. – Ma na imię Tuffy.

– Czy wiesz, gdzie jest twoja mama? – zapytała biolog.

– Nie, oglądałam właśnie *Atomówki* w telewizji, gdy nagle ocknęłam się w ciemnościach. Bałam się, ale Tuffy powiedział mi, że wszystko będzie dobrze, a potem poszłam do światła. Jestem głodna.

– Tuffy ci powiedział? – dopytywał się Weaver, również kucnąwszy obok.

– Tak jakby – odparła dziewczyna i zachichotała. – On nie mówi, nie ma ust tak jak my. Ale wiem, co on ma na myśli. Naprawdę bardzo się bałam, a on sprawił, że nabrałam odwagi i powiedział, żebym poszła do światła i znalazła coś do jedzenia. Jestem głodna.

– Pizza już nam się skończyła – stwierdził Bill Weaver i machnął na oficera Navy SEAL. – Masz ochotę na trochę pysznego gotowego posiłku wojskowego?

– Nie wiem – wyznała dziewczynka. – Ale nie lubię zielonego groszku.

– Nie będzie żadnego groszku – obiecał Weaver, gdy komandos z Navy SEAL, kręcąc głową, poszedł po paczkę żołnierskiej racji żywnościowej.

– Doktorze Weaver – odezwał się policjant, który zbliżył się i przykucnął obok pozostałych. – To niemożliwe.

– Co pan ma na myśli?

– Byłaś w domu, Mimi? – spytał zastępca szeryfa spokojnym głosem. – To znaczy, kiedy zasnęłaś?

– Tak – odpowiedziała Mimi.

– To niemożliwe – powtórzył policjant. – Mendel znajdowało się jakieś trzy przecznice stąd.

– Mieliście piwnicę, Mimi? – zapytał Weaver. – Byliście w piwnicy?

– Nie – odpowiedziała. – Mieliśmy normalne mieszkanie. Na pierwszym piętrze. Lubiałam rzucać balony z wodą na schody, aż mama dowiedziała się o tym i kazała mi przestać.

– To naprawdę niemożliwe – powtarzał gliniarz. – Gdzie tak naprawdę byłaś, Mimi?

Bill nie miał dzieci, ale wiedział, że potrafią zmyślać. Jednak kłamstwa Mimi nie miałyby najmniejszego sensu i odnosił wrażenie, że ona wcale nie fantazjuje.

– Nie wydaje mi się, żeby kłamała, sierżancie – rzekł cicho. – Proszę mi zrobić przysługę i nie

podnosić na nią głosu. Nie chcę, żeby się zdenerwowała, ani ten stwór.

– Ona nie mogła przyjść z Mendel, doktorze Weaver – protestował zastępca szeryfa. – Ta ulica przestała istnieć.

– *Quod erat demonstrandum* – odpowiedział fizyk. – *Co było do udowodnienia*. Skąd więc się tutaj wzięła? Wszystko w promieniu kilometra stąd zostało unicestwione. Ona ma sześć lat, nie mogła zajść tak daleko. Ergo, przyszła skądś, skąd nie mogła przyjść, zaś ulica Mendel to tylko jedna z wielu równie nieprawdopodobnych możliwości.

– Jak więc przeżyła? – zapytał gliniarz, wyraźnie poirytowany.

– Nie mam pojęcia – szczerze odpowiedział Weaver.

– Jakiś rodzaj efektu toroidalnego? – podsunęła McBain.

– Nie – stwierdził fizyk. – Gdyby zaistniał minimalny efekt toroidalny, a nie wydaje mi się, żeby zaistniał, to i tak uległoby zniszczeniu wszystko na wysokości pierwszego piętra. A ona nie wyszłaby z tego bez najmniejszego draśnięcia. Słuchajcie, to wszystko nie ma sensu zgodnie ze standardowymi teoriami, więc pozwolę sobie na przypuszczenie, że może otworzyła się jeszcze jedna brama, a ona spadła do niej, gdy po okolicy przeszła fala uderzeniowa. Problem w tym, że nawet gdyby otworzyła się dokładnie pod nią, nie miałyby czasu na to, żeby do niej wpaść.

– Może zatem otworzyła się na niej – podsunęła kobieta. – A ona wypadła z niej po przejściu fali uderzeniowej?

– Możliwe. – Naukowiec wzruszył ramionami. – Lub może Tuffy ją ocalił.

– Tak właśnie było – podkreśliła stanowczo dziewczynka. – Tuffy powiedział mi, że mnie uratował.

– Mamy więc odpowiedź – rzekł Weaver z uśmiechem. – Problem rozwiązany.

– Ale nie wszystkie problemy – zaznaczył zastępca szeryfa. – Powinniśmy odizolować każdego rodzaju istotę obcą. A jeśli to nie jest istota pozaziemska, to już w ogóle nie wiem, czym jest ten stwór. Wiadomo, że może roznosić jakąś zarazę. A ona nie będzie mogła zabrać go ze sobą do schroniska.

– Nie wiemy też, w jaki sposób ją uratował – dodała z naciskiem McBain.

– Sęk w tym, że musimy to odizolować – powtórzył policjant. – I ją także, jeśli się nad tym zastanowić. Mimi, przykro mi, ale będziesz musiała oddać mi Tuffy’ego – mówił dalej gliniarz, wyciągając parę gumowych rękawiczek.

– Nie oddam – odrzekła z uporem. – Tuffy to mój przyjaciel i uratował mnie. Nie zabierzecie go, żeby go uśpić.

– Nie uśpiemy go, dziecko – obiecała kobieta. – Ale on może roznosić jakieś zarazki. Musimy upewnić się, że jest bezpieczny.

– Nie ma zarazków – oświadczyła Mimi. – Powiedział mi, że jest bezpieczny.

– Ale mimo wszystko musisz mi go oddać, Mimi – oznajmił zastępca szeryfa wyciągając ręce po stworzenie.

– Nie! – krzyknęło dziecko cofając się. – Nie oddam go wam. Zostawcie mnie! Jesteś złym człowiekiem!

– Mimi... – wtrącił się fizyk, gdy stworzenie stanęło dęba. Dostrzegł przelotnie coś, co przypominało pyszczek, a następnie dwie łapy stwora nadzwyczajnie rozciągnęły się, formując się na końcach w szpony. Szpony trafiły w przedramię policjanta tuż poniżej chroniącej go kamizelki kuloodpornej. Rozległo się osobliwe skwierczenie, po czym mężczyzna padł na ziemię i dostał konwulsji.

Weaver cofnął się, przyjmując pozycję bojową, gdy biolog również się wycofała. Policjant trząsł

się cały od stóp do głów, po chwili jednak przestał. Wciąż oddychał.

– Lekarza! – zawołał Glasser, upuściwszy paczkę gotowego posiłku wojskowego, którą właśnie przyniósł, i chwycił zastępcę szeryfa. Zaciągnął go na tył samochodu i podłożył mu ramię pod głowę.

– Mimi – powiedział Bill Weaver z takim spokojem, na jaki zdołał się zdobyć. – Powiedz Tuffy’emu, że go nie zabierzemy, dobrze?

– Dobrze – zgodziła się, obracając głowę i mamrocząc coś do istoty. – On mówi, że temu człowiekowi nic nie będzie.

– Świetnie.

– Wyglądało to tak, jakby został porażony paralizatorem na prąd – rzekł komandos podchodząc z paczką racji żywnościowej. – Mimi, to jest kurczak po chińsku. Niestety, ma trochę groszku, ale to najlepsze, co mamy. Podgrzałem go dla ciebie. – Wyjął składany nóż, naciął wierzchnią część paczki, po czym otworzył ją i spokojnie podał jej razem z widelcem.

Mimi spojrzała na paczuszkę z niepewnością i niechęcią, którą doskonale znały miliony żołnierzy na całym świecie, następnie szturchnęła sztucem jej zwartość. Nabrała trochę papki i spróbowała, po czym zaczęła pochłaniać ją łapczywie, wyciągając kawałki kurczaka.

Gdy to robiła, Tuffy zszedł po jej piersi i trzymając się koszuli wystawił łapki, żeby wziąć trochę pożywienia. Wydawało się, że przegrzebuje danie w poszukiwaniu warzyw. Ponieważ dziewczynka wyjadała głównie mięso, był to sprawiedliwy podział. Bill przypatrywał się ze zdumieniem, w jaki sposób stworzenie wyławiało kawałki z sosu, zamykało na nich małe szpony i przenosiło ku dolnej części ciała, gdzie je najwyraźniej konsumowało.

– Mimi – rzekła nagle biolog z tonem przerażenia w głosie. – Właśnie coś sobie pomyślałam. To może zaszkodzić Tuffy’emu.

– Tuffy mówi, że to nie jest złe – oświadczyła dziewczynka z ustami pełnymi jedzenia. – Powiedział, że umie dostosować swoją fiz-o-logiczną nie-kompa-ty-bliność. – Najwyraźniej nie miała pojęcia, co to znaczy, i nie dbała o to.

– Jasny gwint – mruknął Weaver.



# ROZDZIAŁ TRZECI

– Zamierzamy zastosować regułę młodszego żołnierza, generale – oznajmił porucznik Glasser wskazując na plan na tablicy.

Generał brygady Hank Fullbright był zastępcą szefa operacyjnego w Dowództwie Operacji Specjalnych (SOCOM). Najwyraźniej toczyła się batalia w Waszyngtonie o to, kto miał nadzorować badania bramy, jednak ze względu na jej bliskość chwilowo kontrolę tę sprawował SOCOM. Fullbright został wysłany na miejsce niemalże tak szybko jak drużyna „Fok”, siedział teraz na bujanym fotelu w Hummerze dowództwa, kiwając głową w czasie odprawy. „Regułę młodszego żołnierza” znała większość wojskowych, a szczególnie goście posyłani na front i do trudnych zadań. W przypadku, gdy nie było sposobu na przetestowanie, powiedzmy, trującego gazu, najmłodszy rangą żołnierz był wykorzystywany jako królik doświadczalny.

– Starszy szeregowy Sanson został przygotowany do dokonania wstępnego przejścia – dodał Glasser, poklepując po ramieniu młodego komandosa stojącego obok niego. Miał on na sobie niebieski skafander środowiskowy i trzymał pełną maskę gazową po pachę. – To zwykły rekonesans. Wejście tam, podejmie wszelkie niezbędne środki bezpieczeństwa, nakręci krótki materiał filmowy i wróci.

– Jesteś gotów, żołnierzu? – rzucił generał.

– Tak jest, sir – zawołał komandos, nieco podenerwowany.

– Zapomnij o obowiązku, synu – rzekł generał Fullbright łagodniejszym głosem. – Przyznaję, że reguła młodszego żołnierza ma sens, ale chcę wiedzieć, czy nie masz jakichś zastrzeżeń co do tego zadania.

– Mam pewne obawy, sir, tak, sir – odparł starszy szeregowy. – Ale otrzymałem wszystkie niezbędne informacje w czasie odprawy, a ktoś musi się tego podjąć. Jestem chętny, wyszkolony i gotowy, sir.

– Okay, więc ruszaj – rozkazał spoglądając na swój zegarek. – Jest 23:30. Planujecie to jeszcze dzisiaj, poruczniku?

– Tak jest – odpowiedział oficer. – Pierwsze wejście. Otrzymaliśmy sugestię, żeby tego dokonać tak szybko, jak to możliwe ze względu na potencjalną awarię bramy, jak również ze względu na konieczność szybkiej oceny zagrożenia po drugiej stronie.

– Innego niż zdychające robactwo – dokończył Fullbright uśmiechając się mizernie. Kolejny wypadł przez bramę niespełna godzinę wcześniej i został starannie przebadany przez doktor McBain.

– Tak jest, sir – odparł Glasser.

– Nie znam się na całej tej fantastyce naukowej – przyznał generał. – Jest pan pewien, że zadbał o wszystko?

– Na ile to było możliwe, generale – podkreślił Weaver. – Nie wiemy niczego o warunkach atmosferycznych panujących po drugiej stronie z wyjątkiem tego, że robale mają płuca, zatem musi tam być jakieś powietrze. Są też w stanie przetrwać pewien czas po naszej stronie. Sanson będzie miał na sobie skafander środowiskowy. Na pewno go nie zdejmie. Daliśmy mu bardzo solidne i łatwe w użyciu urządzenia do sondowania atmosfery. Może doświadczyć wyraźnych zmian grawitacyjnych, różnic w świetle, inaczej też może wyglądać rzeźba terenu. W zasadzie on nie ma pojęcia, co tam znajdzie, a my po prostu mamy nadzieję, że w ogóle uda mu się wrócić. Wysłaliśmy już opancerzony pojazd, który miał na chwilę wjechać do środka i wrócić. Nie wrócił.

– To niedobrze – przyznał Hank Fullbright. – Może po prostu dałoby się tam wsadzić kamerę na

jakimś długim pręciem?

– Zrobiliśmy to, sir – powiedział porucznik Glasser. – Pręt został złamany.

– Synu, nadal chcesz tam iść?

– Tak, sir – rzekł zwięźle Sanson.

– No cóż, powodzenia – powiedział generał, wstał i uściśnął mu dłoń.

Grupa znów wyszła na oświetlony obszar. Pod kulą sklecono platformę. Była chwiejna jak diabli. Na dole pewien facet w kasku spoglądał w górę i kręcił głową.

– Kim pan jest? – zapytał Bill Weaver, kiedy doszli do podnóża schodów.

– Bill Earp z FEMA – odpowiedział mężczyzna. – Jestem koordynatorem do spraw bezpieczeństwa. – Był wysoki i mocno zbudowany, miał czarno-siwą brodę przyciętą po bokach specjalnie pod aparat tlenowy; niebieski kombinezon, który nosił, nadawał mu wygląd brodatego niebieskiego Buddy.

– Jeśli chce mi pan powiedzieć, że platforma nie jest bezpieczna – rzekł fizyk – to właściwie sami to zauważyliśmy. Jednak musimy dziś w nocy dokonać przejścia na drugą stronę.

– Tak naprawdę to cała ta sytuacja jest piekielnie niebezpieczna – rzekł przedstawiciel FEMA z uśmiechem. – Jestem tu tylko po to, żeby zapoznać was z podstawowymi środkami bezpieczeństwa. Kto przechodzi na tamtą stronę?

– Starszy szeregowy Sanson – powiedział Weaver wskazując na komandosa.

– W porządku, szeregowy Sanson, oto twoja odprawa dotycząca bezpieczeństwa – rozpoczął gość z FEMA, znów się uśmiechając. – Musisz mieć świadomość, że platforma, po której tam przejdiesz, jest źle skonstruowana, więc może się zawalić. Pamiętaj, że po drugiej stronie bramy możesz spotkać się z powietrzem znacznie gorszej jakości. Pamiętaj, że po tamtej stronie bramy możesz odczuć mniejszą lub większą siłę oddziaływania pola grawitacyjnego. Wyjście po drugiej stronie może nie znajdować się na powierzchni ziemi i możesz doświadczyć jakiegoś upadku. W czasie powrotu może okazać się, że nie trafiłeś na platformę, wobec czego spadniesz z wysokości około 20 metrów na ziemię. Brama może w ogóle nie wrócić do tego samego miejsca i w takim wypadku możesz znaleźć się w dowolnym miejscu w tym wszechświecie lub nawet w innym. Skafander środowiskowy, którego używasz, nie ma gwarancji producenta na jego stosowanie w warunkach pozaziemskich, a zatem korzystasz z niego na własne ryzyko. Czy rozumiesz znaczenie tego ostrzeżenia?

– Tak, sir? – odpowiedział niepewnie komandos.

– Sprawdziłeś, czy masz dopasowaną maskę? – zapytał przedstawiciel FEMA.

– Wziąłem w niej parę oddechów – rzekł żołnierz.

– To nie wystarczy – oświadczył mężczyzna. – Chodź ze mną.

Z bagażnika samochodu należącego do wypożyczalni aut specjalista z FEMA wyjął tester dopasowania maski. Wetknął otwór wylotowy do maski, zaczepił aparat tlenowy, następnie spędził kilka minut na upewnianiu się, że jest idealnie szczelna. Po czym pomógł Sansonowi nałożyć kaptur. Stanowił on integralną część skafandra i po nałożeniu mocno zachodził na resztę stroju. Suwak znajdował się z tyłu kombinezonu. Nałożyli kaptur, zamknęli go, następnie zasunęli tylną część. Człowiek z FEMA sprawdził szczelność zamka błyskawicznego, poprawił co trzeba, a później poklepał go po ramieniu.

– Tak lepiej – zaznaczył. – Wcześniej miałeś 15-procentową nieszczelność; jeśli byłoby coś szkodliwego w atmosferze po tamtej stronie, padłbyś w kilka sekund. Życzę szczęścia.

– Dziękuję, sir – rzekł chłopak z Navy SEAL. Jego głos był mocno przytłumiony. Nie zdjął już maski, gdy podszedł bliżej platformy.

Kiedy dotarł do platformy, Glasser podał mu M-4, po czym zapiął wojskową uprząż – która



szczęśliwie dała się założyć na cały skafander i aparat tlenowy – i zamocował kamerę wideo na jego ramieniu.

– Powtórz swoje rozkazy – polecił.

– Włączyć kamerę. Przejść przez bramę w pozycji taktycznej. Uważać pod nogi. Obrócić się, żeby sprawdzić, czy jest bezpiecznie. Opuścić broń, podnieść kamerę. Wykonać jeden powolny obrót z kamerą. Wrócić. – Sanson wyjął magazynek z karabinu, upewnił się, że jest pełny, zatrzasnął go, załadował kulę do lufy i zabezpieczył.

– Jeżeli nie wrócisz, nie ruszymy za tobą w ciągu najbliższej godziny – zaznaczył porucznik. – Jeśli nie będziesz mógł wrócić ze względu na niemożność osiągnięcia kuli po drugiej stronie, przyjmij pozycję taktyczną i czekaj; wyślemy kogoś po ciebie.

– Tak jest, sir – odparł komandos, wiedząc, że ma tlenu na zaledwie 45 minut. Oni byli ponad tego rodzaju ewentualnościami. – Mogę iść?

– Tak – rzucił Glasser, wskazując na chybotałe schodki.

James Thomas Sanson pragnął być członkiem US Navy SEAL od chwili, kiedy w wieku siedmiu lat obejrzał program telewizyjny o nich na Discovery Channel. Gdy podrośł, uczył się wszystkiego, co tylko mógł znaleźć na temat „Fok”, oraz wszystkiego, co mogłoby mu się przydać, zanim jeszcze do nich wstąpił. W szkole średniej grał w football i trafił do drużyny lekkoatletycznej. W jego szkole nie było basenu, ale jeździł nad rzekę, latem i zimą, i pływał tyle, ile tylko mógł. Czasami leżał w wodzie zimą, ucząc się ignorowania zimna. Pewnego razu niemalże zmarł wskutek hipotermii, lecz uznał to za bardzo cenny „element treningu”.

Ponadto był dobrym uczniem i lubił czytać. Skończył szkołę ze średnią 3,5, przeczytawszy dosłownie wszystkie biblioteczne książki o historii wojskowości oraz militarne książki fabularne.

Uważał, że przygotował się do szkolenia „Fok” tak dobrze, jak tylko mógł i z wyjątkiem jednego przekłętego tygodnia nie było ono dla niego tak koszarne jak dla wielu innych nowicjuszy. O tym wyjątku zdecydowało zmęczenie. Zignorował fakt, że adepci US Navy SEAL byli trzymani bez snu przez cały okres Piekelnego Tygodnia, co niemalże go wykończyło. Jednak przeszedł to. Zachował spokój w Fazie Pierwszej i Drugiej i radził sobie całkiem nieźle, skończył jako jeden z najlepszych w klasie. Kiedy dostał się do swojej pierwszej grupy desantowej, wiedział, że będzie musiał zmierzyć się z typowymi szykanami, ale to przecież nic osobistego, po prostu upewnianie się, że stanowi odpowiedni materiał na komandosa. Stale robili sobie z niego niewybredne żarty, on zaś przygotowywał się starannie. Sądził, że jest gotowy zmierzyć się ze wszystkim, co będzie musiał wykonać w szeregach komandosów morskiej grupy desantowej.

Aż do tego momentu.

Gdy dotarł na szczyt platformy, uświadomił sobie, że zamiast czytać wojskowe podręczniki i powieści, powinien czytać fantastykę naukową. Niezależnie od wszystkich odpraw zdał sobie sprawę, że nie ma bladego pojęcia, o czym oni wszyscy mówią. Inna atmosfera? Inne słońce? Inna grawitacja? No i na dokładkę pozostawały jeszcze te cuchnące, dziwaczne robaki.

To wszystko mocno mu śmierdziało.

Włączył przekłętą kamerę wideo i już szykował się do zrobienia kroku przez bramę. W ostatniej chwili powstrzymał się. Jeśli czekał go upadek, wolał złączyć nogi. Ścisnął je razem, trzymając broń wysoko uniesioną w pozycji taktycznej, po czym skoczył do kuli.

Doświadczył chwilowej dezorientacji, tak jakby znalazł się na kolejce górskiej do góry nogami i w ciemnościach, potem zaś, zamiast spaść, trafił na coś palcami stóp i potknął się. Odruchowo przeturlał się po czymś miękkim, uderzył w coś twardego i zamarł przykucnięty w pozycji bojowej z bronią uniesioną do strzału.

W pierwszej chwili największe wrażenie zrobiła na nim pomarańczowa barwa; w otoczeniu dominował pomarańczowy kolor. Oświetlenie było raczej skąpe; niezwykle bujna roślinność przesłaniała słońce. „Drzewa” przypominały gigantyczne pnącza, które splatały się ze sobą, pnąc w górę ku światłu. Była to jakaś niezwykle trzypiętrowa dżungla. Jednak brakowało zieleni pnączy i mchu, wszystko mieniło się odcieniami barwy pomarańczowej. Wszędzie było tego aż nadto. Trafił na niewielki wycinek „gleby” (pomarańczowej), ale był to tylko mały kawałek. Większość gruntu pokrywały bujne korzenie pnączy.

Odruchowo uniósł się i wykonał powolny obrót, wyszukując jakichkolwiek zagrożeń. Wyglądało na to, że w pobliżu nie ma nawet żadnych robali, choć dostrzegł jakiegoś mniejszego „żuczka” na „drzewie” za swoimi plecami. Zobaczył też, jak brama wygląda z drugiej strony. Zamiast kuli widniał lustrzany krąg. Był trudny do wyłowienia i znajdował się właściwie w środku drzewa, niczym jakieś niezwykle lustro zagłębione w korze. Połowicznie w drzewie, połowicznie poza nim. Nie tkwiło też idealnie równo w stosunku do miejscowej grawitacji, lecz nieco pod kątem, spoczywało częściowo na boku, odrobinę przechylone.

Grawitacja. Wyższa niż ziemską. W pierwszej chwili nie uderzyło go to; po prostu czuł się trochę słaby. Jednak z pewnością chodziło właśnie o grawitację. Czuł się tak, jakby miał na sobie wielki plecak, z tym że nie na plecach, lecz na całym ciele. Dokończył pierwszy obrót, po czym uniósł kamerę wideo i zrobił kolejny. Żadnych nieprzyjaciół, żadnych śladów cywilizacji, tylko te olbrzymie, przytłaczające drzewa.

Po chwili targnęła nim kolejna fala dezorientacji, mająca jednak nie zewnętrzne, a wewnętrzne źródło. To nie była Ziemia. To nie było nawet coś zbliżonego do Ziemi. Obca planeta, całkowicie i skrajnie odmienna. Na moment ogarnął go niewiarygodny strach. To jakieś piekło – jeśli brama nie zadziała, może tu utknąć, a raczej nie marzył o spędzeniu reszty życia w tym miejscu.

Odpowiednie szkolenie znów uratowało mu życie. Wykonał swoją misję. Jeden obrót, żeby sprawdzić otoczenie, jeden obrót z kamerą. A teraz...

– Spierdzielam stąd – wymamrotał. Wyłączył kamerę, sprawdził, czy broń jest zabezpieczona, i odwrócił się do bramy. – Cholera, którędy tu wszedłem? – rzucił. Nie stał wprost przed bramą. Gdyby wskoczył z powrotem pod niewłaściwym kątem, mógłby zafundować sobie śmiertelny upadek. – Dlaczego nie mogli rozwiesić jakieś siatki asekuracyjnej? – mruknął. W końcu przyjrzał się lustru na drzewie, rozłożył ramiona szeroko na wypadek, gdyby nie trafił i musiał złapać się rusztowania platformy, i skoczył.

\* \* \*

– Do tej pory wysłaliśmy grupę zwiadowców na drugą stronę i wygląda na to, że jest to jakaś dżungla o trzech piętrach roślinności – rzekł Weaver przez wideotelefon. Był w połowie zdumiony, a w połowie rozbawiony skutecznością wojska, jeśli chodzi o zakładanie kwater wokół dziury. Najpierw stał tam tylko Hummer dowództwa, teraz zaś rozbito namioty, ustawiono generatory elektryczne, kuchnie polowe, biurka, komputery, ustanowiono łączność wideo z Białym Domem; a wszystko to w zaledwie kilka godzin od chwili zjawienia się na miejscu generała. – Ja również byłem po tamtej stronie. Bez wątplenia jest to obcy świat; wstępne analizy biologiczne jednego z robali, który stamtąd pochodził, wskazują, że nie mają one nawet DNA, a w każdym razie doktor McBain nie znalazła żadnych jego śladów. Posiadają proteiny, lecz nie przypominają one niczego, co znamy: nie ma w nich żadnych ziemskich aminokwasów. Wyższe poziomy dwutlenku węgla, znacznie niższe tlenu, ponadto całkiem sporo tlenoazotu w atmosferze. Grawitacja równa się 1,3 naszej standardowej grawitacji, co sprawia, że jest nieco ciężko, ale da się przeżyć. Szczerze mówiąc, po wyplenieniu roślinności wokół przejścia, założeniu jakiejś maski gazowej, można w zasadzie

spokojnie zamieszkać po tamtej stronie. To wszystko jest niezwykle ciekawe.

– Świetnie – powiedziała doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego. – Ale naprawdę muszę mieć pewność... Czy nie ma tam żadnych zagrożeń? Ani biologicznych, ani militarnych?

– Jak dotychczas nie – zawahał się fizyk. – Na podstawie analizy biologii tych organizmów muszę stwierdzić, że byłbym zdziwiony, gdyby mogły one w ogóle wchodzić w jakąś interakcję z naszą biologią. Nie jest to niemożliwe, lecz bardzo mało prawdopodobne, a doktor McBain zgadza się z tym. Z całą pewnością musimy sprowadzić tu grupę najlepszych biologów, włącznie ze specjalistami w dziedzinie biologii molekularnej. Lub będziemy musieli przesłać im te organizmy.

– Pracuję nad tym – oświadczył doradca naukowy. – Potrzebujemy próbek dla Ośrodka Kontroli i Zwalczania Chorób Zakaźnych (CDC) oraz wydziału chorób nowych i zakaźnych na University of Georgia. University of Georgia ma znakomitych specjalistów w dziedzinie biologii molekularnej.

– W sprawie zagrożeń militarnych, proszę pani – wtrącił się generał – jak na razie po tamtej stronie nie natknęliśmy się na żadne ślady cywilizacji.

– Cywilizacji w znanej nam postaci – podkreślił Weaver. – Nie próbuję się sprzeczać, generale, ale o ile nam wiadomo, owe liany po drugiej stronie tworzą pewną cywilizację. Wszystko pozornie wydaje się całkiem podobne do naszego świata, jednak pamiętajmy, że w żadnym razie nie jest to Ziemia.

– Racja – przyznał wojskowy. – Ale gdyby cokolwiek wrogiego usiłowało tędy przejść, mamy tu kompanię piechoty i jednostkę US Navy SEAL wokół kuli. To powinno przynajmniej spowolnić nieprzyjaciół.

– Proszę mi jeszcze powiedzieć, co się stało z tą dziewczynką i stworzeniem pozaziemskim? – zapytała doradczyni.

– Cóż, jest to z pewnością spora zagadka, proszę pani – rzekł naukowiec uśmiechając się cierpko. – Niewątpliwie jest ona tym, za kogo się podaje; miejscowa policja skontaktowała się ze szkołą i zdobyła jej dokumenty. Mimi Jones z Mendel Road, było nawet zdjęcie. Rzeczywiście mieszkała w doszczętnie zniszczonym obszarze, praktycznie w samym epicentrum. Natomiast istota pozaziemska przynajmniej na pierwszy rzut oka nie wygląda, jakby pochodziła z tej samej grupy struktur biologicznych; po tamtej stronie, jak dotąd, nie znaleźliśmy niczego, co przypominałoby futro. Wysłaliśmy na Mendel Road grupę Gwardii Narodowej z GPS-ami, jako że nie ma innej możliwości, by stwierdzić, gdzie jest to miejsce po eksplozji. Nie udało im się znaleźć niczego, co przypominałoby drugą bramę. Proszę mi pozwolić zaznaczyć, że nie mamy pewności, czy obserwujemy alternatywny wszechświat, czy raczej inną planetę w naszym. Szczerze mówiąc, nie ma powodu, aby jakakolwiek brama otworzyła się na niezamieszkaną planetę. Już bardziej prawdopodobne jest to, by otworzyła się w próżni. Zaś dwa różne gatunki obcych istot pojawiające się wskutek jednego incydentu to coś, co budzi poważny niepokój.

– Rozumiem – oznajmiła specjalistka od bezpieczeństwa narodowego. – To bardzo słuszne uwagi. Ma pan jakieś teorie, doktorze?

– To zależy, co pani rozumie pod pojęciem teorii, proszę pani – zaznaczył fizyk. – Tak naprawdę wciąż nie wiemy niczego o świecie po drugiej stronie tej bramy. Na pewno jest jakaś przyczyna, z której otworzyła się tutaj. Jakiś rodzaj podobieństwa, który stworzył sposobność do otworzenia się przejścia. Lub może po tamtej stronie istniała kiedyś cywilizacja potrafiąca tego dokonać i jest to tylko jakiś rodzaj rezonansu... Wszystko to jednak nie wyjaśnia obecności Tuffy'ego.

– Tuffy'ego? – przerwała mu doradczyni do spraw bezpieczeństwa, uśmiechając się szczerze.  
– Tak właśnie ta dziewczynka, Mimi, nazywa to pozaziemskie stworzenie – wtrącił się generał.  
– Wszystko to na razie nie układa się w jakąś sensowną całość – orzekł Weaver. – Z czasem

zorientujemy się, co się dzieje. Ale póki co, możemy tylko gromadzić dane i starać się przedstawić pewne hipotezy.

– Dobrze – powiedziała, szczypiąc się w grzbiet nosa i ziewając. – Czego jeszcze wam potrzeba?

– Mamy zapotrzebowanie na pewne urządzenia pomiarowe – powiedział fizyk. – Przymuszczalnie będziemy też musieli założyć tutaj laboratorium. Musimy podjąć zdecydowane kroki w celu zachowania protokołów bezpieczeństwa biologicznego...

– Z całą pewnością – rzekł doradca naukowy.

– I musimy dowiedzieć się, czy to rzeczywiście bozon Higgsa, a jeśli tak, to czy jest stabilny, czy zwiększa się, czy zmniejsza. Jeśli ulega degradacji, to jakie będą skutki uboczne... – Doktor Weaver pokręcił głową. – Mnóstwo pytań, niewiele odpowiedzi. Przykro mi.

– Nie, wykonuje pan dobrą robotę – stwierdziła doradczyni. – Tak trzymać. Generale, niech pan sprowadzi tam również jakąś kompanię marines. Ale nie zabijajcie od razu wszystkiego, co przejdzie przez bramę; może to być jakiś ich odpowiednik młodego komandosa, wysłanego na rekonesans.

– Tak jest, proszę pani – rzucił wojskowy z powątpiewaniem.

– Ujmę to w następujący sposób, generale – powiedziała z delikatnym uśmiechem. – Naprawdę nie chcemy wszcząć międzyplanetarnej wojny przez to, że kogoś świerzbi palec na spuście. Mamy wystarczająco dużo problemów na Bliskim Wschodzie.

– Tak jest, proszę pani.

– I proszę trochę odpocząć – dodała ziewając. – Jutro będzie naprawdę długi dzień.

Bill Weaver skinął głową i przekaz się zakończył, ale nie obiecał, że odpocznie. Byłby naprawdę zdumiony, gdyby zdołał się wyspać w ciągu najbliższych kilku dni; zbyt wiele było do zrobienia, zobaczenia i przemyślenia.

Skinął głową w kierunku generała, po czym odszedł do laboratorium, które założył w namiocie. Był tam Garcia, kiwający się nad instrumentami, tak jakby zapadł w półsen. Dotychczas dostali już laserowy sprzęt pomiarowy i zmontowali trochę bardziej precyzyjny licznik promieniowania, lecz na tym koniec. Miał nadzieję, że do końca jutrzejszego dnia znajdzie jakiś sposób na to, żeby naprawdę dokładnie zmierzyć poziom emisji. Czułby wielkie zdziwienie, gdyby okazało się, że cząstka nie wydziela niczego, nawet jeśli sprzęt, którym teraz dysponowali, niczego nie wskazywał. Były to standardowe instrumenty wojskowe, zaprojektowane w celu wykrywania cząstek alfa i może beta. Nie miały służyć wykrywaniu emisji kwarków.

– Coś nowego? – zapytał żołnierza wstukując odpowiedni program do laserów.

– Nic? – rzucił Garcia budząc się z lekkiej drzemki. – W każdym razie nie pojawiło się nic nowego, gdy ostatni raz sprawdzałem.

– Lepiej idź się przespać – rzekł Bill wyganiając go z fotela.

– Dzięki – odpowiedział sierżant. – Do zobaczenia jutro.

Weaver nie wspominał, że już było jutro rano, dochodziła bowiem godzina 4.00. Ale nie dbał o to. Marzył tylko o tym, żeby mieć choćby połowę naprawdę dobrego sprzętu. Pragnął zrozumieć tę cząstkę, jeśli rzeczywiście była to cząstka. Potrzebował bardziej precyzyjnych instrumentów do pomiaru rozmiarów. Musiał dowiedzieć się, czy obiekt ma jakąś masę. Chciał wiedzieć, czy w ogóle coś konkretnego da się o niej powiedzieć. Chciał ją rozłożyć na czynniki pierwsze, rozwałkować, okaleczyć.

Póki co, był w stanie tylko przypatrywać się jej z bezradną irytacją. Przecież powinna się jakoś zachowywać. Nie tak po prostu tkwić tam – wielka, czarna enigma. Jeśli to miało przypominać fantastykę naukową, to powinna stworzyć jakiś spektakularny pokaz. Na jej powierzchni powinno iskrzyć się od elektryczności. A tu nic.

Prychnął, spoglądając na instrumenty, wstał i wyszedł z namiotu. Skierował się w stronę światła dochodzącego z laboratorium McBain, po chwili zapukał do drzwi.

– Mogę wejść? – zawołał.

– Proszę – odezwała się biolog ze znużeniem. Kiedy wszedł, ślęczała zgarbiona nad stołem, wlepiając wzrok w mikroskop.

– Masz coś? – spytał.

– To najdziwniejsza fizjologia, jaką kiedykolwiek widziałem – odpowiedziała McBain. – Oczywiście, można było spodziewać się czegoś takiego. Istnieją pewne podobieństwa do organizmów ziemskich. Podobne płuca, coś, co pełni funkcję serca, muskulatura, egzoszkielet. Ale poza tym wszystko jest po prostu dziwaczne. Nie znalazłam żadnych zmysłów wzroku, brak też zmysłów słuchu. W rejonie głowy znajduje się coś, co jak sądzę, stanowi jakieś sensory, ale nie mam pojęcia, do czego służą. Może to są jakieś szczęki służące do przyswajania pokarmu. Płuca wyglądają na delikatne; powiedziałabym, że owo stworzenie jest niezwykle wrażliwe na dodatkową zawartość tlenu i właśnie to mogło je zabić, ale to tylko przypuszczenie. Następnego żywego robala, którego mi przyniosą, chciałabym umieścić w środowisku o zmniejszonej zawartości tlenu, o ile uda mi się takie stworzyć.

– Żałujesz, że nie ma tu Spocka, co? – rzucił fizyk zerkając jej przez ramię.

– Albo Bonesa – odpowiedziała patrząc na niego z uśmiechem. – Zawsze był moim ulubieńcem. Cholera, Jim, jestem doktorem, nie masonem! Cóż, zajmuję się biologią ziemską, nie jestem ksenobiologiem.

– Teraz już jesteś ksenobiologiem – poprawił ją Bill. – Jak dotychczas chyba jedynym.

– Będzie ich więcej – odparła smutno. – Zrób, co możesz, kiedy możesz, wiesz przecież, że to wszystko nam zabiorą.

– Tak? – zainteresował się Weaver. – Dlaczego?

– Wojsko przejmie nad wszystkim kontrolę – westchnęła. – „Foki” zbierają materiał biologiczny, co tak naprawdę lepiej zrobiliby studenci biologii. Żołnierze pilnują twoich instrumentów...

– Poprosiłem o niego – wyjaśnił naukowiec. – Robił kiedyś magistra z fizyki.

– Tak, ale jakaś bandycka korporacja prędzej czy później przejmie to wszystko i głęboko zakopie, wiesz, że tak się stanie.

– Cóż, dopóki to będzie Columbia Defense Systems, jestem bezpieczny – rzekł Weaver i uśmiechnął się serdecznie. – Jak sądzisz, jak mnie znaleźli?

– Naprawdę? – spytała. – Pracujesz dla nich?

– Przez większość czasu – odpowiedział fizyk. – I nie jest to wcale żadna choroba społeczna czy coś w tym stylu. Na pewno część twojej pracy jest tajna, ale zazwyczaj możesz publikować. Zaś płacą o niebo lepiej niż na uniwersytecie. W każdym razie przez większość czasu mogę się bawić w inżyniera.

– Zatem chyba rzeczywiście jesteś tu bezpieczny – mruknęła pod nosem.

– Ty też możesz się tu czuć pewnie, jeśli nie wkurzysz się wszystkim, co się tu będzie działo – podkreślił Weaver. – Część tej pracy będzie tajna. Ale zamierzam opowiedzieć się za odtajnieniem większości. Społeczność naukowców mających dostęp do tajnych danych nie jest wystarczająco duża, żeby sobie z nimi poradzić, zaś większość światowej klasy specjalistów potrzebna, żeby to przeanalizować i zrozumieć, nie jest skłonna do pracy przy tajnych projektach. Choć części tego na pewno lepiej nie upubliczniać. Nie chcemy przecież, żeby wszyscy nagle zabrali się za tworzenie bozonu Higgsa, jeśli efektem jest bomba jądrowa.

– Masz słuszość – przyznała.

– Już teraz mówią przecież o sprowadzeniu specjalistów w zakresie chorób tropikalnych z University of Georgia – zauważył. – Nie sądzę, żeby którykolwiek z nich miał uprawnienia do pracy nad czymś ściśle tajnym. Nie martw się więc o to zawczasu. Udało ci się już przyjrzeć bliżej temu Tuffy’emu? – dodał, zmieniając temat.

– Maleństwo – rzekła. – Mimi zaczęła czuć zmęczenie, nic dziwnego, bo ja również. Tuż przedtem, nim zasnęła, namówiłam ją, żeby pozwoliła mi go potrzymać przez chwilkę. Bałam się, ale nic mi nie zrobił. Jest idealnie symetryczny, pokryty sierścią i ma paszczę pod spodem. To właściwie wszystko, co potrafiłam stwierdzić. Został mi mały fragment futra na ręce, więc przyjrzałam się mu, gdy tylko dostałam sprzęt do analizy. Zawiera proteiny i jakiś gęsty, długi łańcuch molekuł węgla. Znów nie wykryłam żadnego DNA. To wszystko, co udało mi się z tego wyciągnąć. Żadna z tych molekuł nie przypominała niczego, co wydobyłam z tych delikwentów – dodała wskazując na pokrojone robale spoczywające na stole.

– Gdzie ona jest? – spytał.

– Śpi w jednym z namiotów oficerskich – powiedziała Susan. – Prędzej czy później będziemy musieli ją przekazać najbliższemu krewnym.

– O ile są gdzieś tutaj – zaznaczył Weaver. – Nie chcą wypuszczać stąd niczego, dopóki nie przejdzie dekontaminacji. Sądzę, że jest nieco późno; przecież mamy tu mnóstwo żołnierzy przechodzących tam i z powrotem. Jeśli miałyby nastąpić jakaś ostra zaraza, i tak już złamano zasady kwarantanny.

– Miejmy nadzieję, że nie – westchnęła McBain, a po plecach przeszedł jej dreszcz. – Ale naprawdę bym się zdziwiła, gdyby ta biologia była w stanie wejść w jakąś interakcję z naszą. Na dziś koniec. Idę trochę odpocząć.

– Odpocznij – rzekł Bill. – Ja nie jestem zmęczony.

Udał się z powrotem do swojego namiotu i zaczął robić notatki o wszystkim, co wiedział, czego nie było zbyt wiele, a także o tym, czego chciał się dowiedzieć. Tego było bardzo dużo. Wciąż wracał myślami do Tuffy’ego. Gdyby druga brama otworzyła się w czasie eksplozji, nie byłby to ograniczony incydent. Podejrzewał, że czekało ich jeszcze mnóstwo niespodzianek.

\* \* \*

– *Otworzył się zamknięty świat – wygłosił Kolektyw 15379. – Nastąpiła intencjonalna formacja bozonu z drugiej strony.*

– *Rekonesans? – spytał Kolektyw 47.*

– *Już zarządzony – odpowiedział 15379. – Na razie cztery równoległe bramy i ekspansja po dostępnej linii fraktalnej. Tunel czasoprzestrzenny otworzył się przy jednym z pobliskich przejść. Zespół rekonesansowy właśnie wkracza.*

– *Proszę o raport w sprawie możliwości kolonizacji.*

\* \* \*

– 911, służby ratunkowe – odezwała się operatorka notując czas połączenia na papierowym bloczku. – Policja, straż pożarna, pogotowie?

– Policja! – odpowiedział kobiecy głos. Na monitorze widniał adres 1358 Jules Ct. Eustis. Jak na razie wszystko wydawało się w normie, z wyjątkiem strzałów w tle.

– Czy to strzelanina? – zapytała.

– Tak! Jakieś demony atakują mój dom! Mój mąż wziął strzelbę!

– Proszę pani, proszę się uspokoić – rzekła operatorka. Wstuknęła coś na klawiaturze komputera, wysyłając wóz patrolowy. „Niewykluczony przypadek obłądu, słyszalne strzały”. – Wszystko będzie dobrze.

– Nie, nie będzie – kobieta zaczęła szlochać. – Dobierają się do tylnych drzwi! Nie słyszycie ich?

W tym momencie rozmówczyni zdała sobie sprawę, że rzeczywiście słyszy coś w tle, dziwaczne wycie przywodzące na myśl rozstrojoną syrenę strażacką. Brzmiało to... demonicznie. Jak coś nie z tego świata. Wstukala znów coś na klawiaturze, przesyłając informacje o najściu na dom i prosząc o wsparcie wszystkie pobliskie jednostki.

– Proszę pani, policja już jest w drodze – oznajmiła spokojnie. – Czy to 1358 Jules Cort?

– Tak, one są... – W tle rozległ się krzyk. – Błagam, pospieszcie się! Nadchodzą... – Jej wołanie urwało się nagle.

\* \* \*

Porucznik Doug Jones był głównym śledczym w urzędzie szeryfa w Lake County. Otrzymał to stanowisko i awans ze stopnia sierżanta, kiedy szeryf i jego były szef zgodzili się, że jest mało prawdopodobne, żeby były szef, który wstąpił do Gwardii Narodowej, wrócił na stanowisko wcześniej niż przed rokiem. Teraz żałował tego awansu.

Generalnie odpowiadał za śledztwa w sprawie włamań, dość częstych, gwałtów, niezbyt częstych, morderstw, raczej rzadkich, a przede wszystkim handlu narkotykami oraz używania narkotyków. Lake County znajdowało się na przecięciu kilku dużych autostrad, więc narkotyki napływały tu z południa, z Miami i Tampy, i często były rozprowadzane lub sprzedawane w Lake County.

Nie przywykł jednak do dochodzenia w sprawie inwazji demonów na dom mieszkalny.

Spojrzał na plamę... Jak to nazwał technik medycyny sądowej? Ach, tak, „juchy” na ziemi i pokręcił głową.

– Coś mi tu śmierdzi – rzekł, podnosząc wzrok na funkcjonariusza, który pierwszy wszedł do domu. – Nie widziałeś niczego?

– Nie, poruczniku – odparł funkcjonariusz. – Gdy tu dotarłem, na ulicy stali już sąsiedzi. Na podstawie moich informacji udałem się do tylnego wejścia. Drzwi kuchenne były wyważone i leżały na podłodze kuchni. Na schodach i na piętrze leżały wszędzie łuski po pociskach ze strzelby, znaleźliśmy też dwunastostrzałowy shotgun. Na podeście schodów widniały ślady krwi, podobnie jak w sypialni na piętrze, na podłodze leżała bezprzewodowa słuchawka telefonu. I... – Wskazał na plamę schnącego, zielonego czegoś. – To coś było na schodach, na podeście, a ślad urywał się przy drzwiach. Gdzieniedzie mieszała się z tym krew.

– Mamy więc tutaj do czynienia z demonami zjawiającymi się znikąd, napadającymi na dom, mordującymi lub raniącymi dwoje emerytów, wywlekającymi ich z domu i... – Spojrzał na pagórek za domem, porośnięty dębami i cyprysami. Wydawał się taki sam jak dziesiątki, przez które przechodził wcześniej, choć tym razem jawił mu się jakiś dziwnie mroczny i złowieszczy. – ...I zaciągnęli ich gdzieś w te ciemności. Nie podoba mi się to wszystko.

– Mnie też nie – przyznał się policjant, przełknąwszy nerwowo ślinę. – Po wstępnych oględzinach poprosiłem o wsparcie i wezwałem śledczych, zabezpieczyłem teren i czekałem na posiłki.

– Musiała tu być niezła sieczka – westchnął Jones. Spojrzał ponad głowę szefa oddziału SWAT i wskazał ruchem brody. Tak jak w większości małych miast służba w jednostce specjalnej SWAT stanowiła drugą fuchę w stosunku do codziennych zajęć. I tak jak w większości małych miast jednostka składała się z ludzi, którzy woleli raczej wybulić kasę na własny sprzęt, niż liczyć na możliwości finansowe SWAT. Jednak jednostka SWAT w Lake County była całkiem niezła, biorąc wszystko pod uwagę. Większość członków stanowili starzy, dobrzy chłopcy, którzy dorastali ze strzelbami w dłoniach i naprawdę wiedzieli, jak ich używać. To mogło okazać się bardzo przydatne.

– Hej, Van – zawołał do dowódcy oddziału SWAT. Porucznik VanGelder miał 180 centymetrów wzrostu, imponującą muskulaturę i wygląd twardziela. Przeszedł wszystkie dostępne szkolenia, za

które jego przełożeni byli gotowi zapłacić, a nawet kilka, za które zapłacił z własnej kieszeni. Z drugiej strony – walka z mocami piekielnymi nie była przerabiana na żadnym z tych kursów. – Chcę się przekonać, dokąd prowadzą ślady krwi.

– Dobra – rzucił VanGelder. – Czekałem tylko na pańską zgodę; zatrzemy wszystkie ślady, kiedy tam wejdziemy.

– Jakoś nie wydaje mi się, żebyśmy zdołali postawić tych sprawców przed sądem – rzekł cierpko śledczy. – Proszę pani, czy rozpoznaje pani wśród tych osób jakieś demony, które widziała pani nocą 26.?

– Taaa... – zgodził się dowódca i machnął ręką na resztę jednostki. – Okay, trzeba brać się do roboty. Pójdziemy po śladach krwi, niezależnie gdzie prowadzą.

VanGelder zsunął swoją kominiarkę, nałożył hełm i uniósł shotgun. Rozważał użycie M-5, ale shotgun wywoływał większy respekt. Jeśli trafisz coś z takiej strzelby, to pozostanie to już na swoim miejscu.

Ruszył po śladach krwi, widocznych wyraźnie niczym w dzień, prosto na zadrzewiony pagórek. Szlak wił się pośród cyprysów i dębów i miał kilka rozgałęzień, ale prowadził generalnie w kierunku północnym. Gdy usunął część zwartej roślinności, ujrzał to. Duże, lśniące lustro tkwiące pośrodku niewielkiego lasku. Rozciągało się od powierzchni ziemi aż po wysokość jakichś trzech metrów i było idealnie okrągłe. Ślad krwi prowadził prosto do niego i zniknął w jego wnętrzu.

– Ja chrzanię – mruknął jeden z członków jednostki. – To przedsionek piekieł.

– Co? – spytał dowódca jednostki obracając się.

– Przesionek piekieł – powtórzył Knapp. Był najniższy w całym oddziale, mniejszy od pozostałych niemal o głowę. Reszta miała około 180 centymetrów wzrostu, zaś Knapp niespełna 160 centymetrów. Z drugiej strony był nie tylko najlepszym spośród nich specjalistą od sztuk walki, ale też bardzo przydawał się w sytuacji, gdy trzeba szybko dostać się na pierwsze piętro. W czasie zawodów pięciu z nich po prostu brało go i wrzucało przez okno. Teraz mężczyzna odwinął swoją kominiarkę i pokręcił głową. – To jak przedsionek piekieł, sir. Mówi się, że istnieje brama do innego świata w tej kuli w Orlando. Stawiam wszystko, że to jest jeszcze jedna. To nie były demony; to były obce istoty.

– Urowadzenie przez obcych w Lake County – wymamrotał jeden z członków oddziału. – Już widzę te nagłówki. Po prostu, kurna, świetnie.

– Dobra – rzucił VanGelder włączając swój mikrofon. – Dyspozytor, tu SWAT Jeden. Mamy tu coś, co wygląda na bramę teleportacyjną na tyłach domu na Jules Cort. Sprawcy incydentu najwyraźniej uciekli z miejsca przez tę bramę. – Przerwał na chwilę, nie mając pewności, co można do tego dodać. Uciekł się więc do chyba najstarszego policyjnego tekstu. – Oficer prosi o wsparcie.





# ROZDZIAŁ CZWARTY

– Och, to naprawdę wspaniale – powiedział Glasser.

– Czyta mi pan w myślach – zgodził się z nim Weaver. McBain porównała już juchę znaną ma miejscu z płynami dwóch innych organizmów i nie znalazła żadnych powiązań. Wszystkie trzy zdawały się mieć całkowicie odmienne ewolucyjne pochodzenie. – Jakież pomysły? Inne niż żeby się okopać i czekać?

Pluton inżynieryjno-saperski zajmował się wyrębem drzew na pagórku, gwałcąc przy tym wiele regulacji dotyczących środowiska, którymi nikt się chwilowo nie przejmował, podczas gdy kompania gwardzistów narodowych usiłowała się okopać na miejscu. Tak jak na większości obszarów Florydy, wody gruntowe były tu położone wysoko.

– Sprawdźmy, co jest po drugiej stronie – zaproponował porucznik.

– Jeśli oni są wrogo nastawieni, a muszę przyznać, że na to wygląda, pomysł ten może okazać się niezbyt szczęśliwy – zaznaczył fizyk.

– Może wrzucić najpierw garść ładunków podręcznych, sir? – odezwał się starszy sierżant sztabowy. Starszy sierżant sztabowy Miller miał około 180 centymetrów wzrostu i niemal tyle samo w pasie, łysą głowę i patyk lizaka sterczący przy lewym policzku. Przesunął lizaka w ustach i splunął na ziemię, bez chwili wytchnienia celując lufą swojego karabinu M-4 w połyskujące lustro. – Potem dokonamy taktycznego wejścia, rozejrzemy się i wycofamy?

– A jeśli nastąpi eksplozja powrotna przez bramę? – zapytał Glasser.

– Zdaje się, że z tylnej strony brama nie wygląda na tak samo funkcjonalną jak z przodu, sir – odparł Miller. – Powiedzmy, że wrzucimy je, przypadniemy do ziemi i poczekamy chwilę w pozycjach kucznych, po czym przejdziemy tam i zaraz wrócimy.

– Jeśli o mnie chodzi, to może być – rzekł oficer. – Do dzieła. Aha, starszy sierżancie sztabowy?

– Tak, sir?

– Nie będziesz pierwszy, który przejdzie.

– Tak jest, sir – powiedział z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

– Ani ja. Ale będę w drużynie.

\* \* \*

Najpierw skafandry środowiskowe. Komandosi z morskiej grupy desantowej używali ich po drugiej stronie bramy w Orlando tak chętnie, że do tej pory zdołali do nich przywyknąć. Najpierw maska, kaptur, kamizelka ochronna. Potem zbiornik z tlenem, uprząż z amunicją. Na samym końcu broń i hełm.

– Szkoda, że te maski nie stanowią ochrony przed pociskami – stwierdził Glasser, gdy Weaver pomagał mu dopasować wszystkie elementy.

– Baw się dobrze – rzekł Bill.

– Przecież zawsze to robię, prawda?

Pięcioosobowa drużyna zebrała się przy bramie, a dwaj mężczyźni spośród tej piątki nieśli w dłoniach ładunki podręczne. Ładunki podręczne to na ogół nylonowa torba wypełniona materiałami wybuchowymi. Zapalnik czasowy jest połączony z detonatorem. Trzeba nacisnąć detonator, rzucić pakunek i chwilę poczekać na wielką eksplozję.

– Tylko pamiętajcie – ryknął Miller przez radio. – Gdy tylko uruchomicie zapalnik, „pan ładunek podręczny” przestaje być waszym przyjacielem.

Glasser, Miller i Sanson kucnęli za bramą, podczas gdy dwaj pozostali wrzucili do niej materiały

wybuchowe i błyskawicznie przypadli do ziemi. Wszyscy zasłonili uszy dłońmi i czekali na moment eksplozji. Rozległ się potworny huk, który jednocześnie zdawał się dziwacznie przytłumiony. Chwilę później zespół ruszył.

Każdy komandos Navy SEAL miał swój numer i pewną misję. Numer jeden, Howee, miał wejść pierwszy, rozejrzeć się na lewo i na prawo, następnie skupić na tym, co będzie miał przed sobą. Numer dwa, Woodard, miał rozejrzeć się natychmiast po wkroczeniu do akcji, po czym skoncentrować na tym, co będzie miał po lewej stronie. Numer trzy, Sanson, ubezpieczał wszystkich z prawej. Czwarty, starszy sierżant sztabowy Miller, pilnował góry i pleców. Piąty, Glasser, dowodził.

Sformowali się błyskawicznie już przed bramą, następnie umieściwszy lewą rękę na lewym ramieniu, trzymając bronie opuszczone i wymierzone w bok, biegiem przedostali się przez bramę.

Tym razem nie doszło do żadnego upadku. Druga strona znajdowała się na tym samym poziomie, co ziemski świat, z którego przyszli. Jednak było to zupełnie inne środowisko niż ziemskie, a także środowisko tej innej, wciąż nienazwanej planety. Wydawało im się, że trafili do jakiejś wielkiej sali, choć ściany i posadzka zdawały się osobliwie organiczne. Światło było bardzo słabe, a wszystko – lub właśnie owo nikłe światło – miało barwę zieloną. Pomieszczenie sprawiało wrażenie ogromnego owalu, pomimo że najbardziej odległe ściany znajdowały się poza zasięgiem wzroku w tym półmroku.

Glasser włączył latarkę na karabinie i przeczesał pomieszczenie strugą światła. Było wystarczająco duże, żeby promień światła nie dotarł do przeciwległej ściany czy stropu. Najwyraźniej brama znajdowała się w samym środku tego pomieszczenia. Posadzka okazała się zielona, zaś rozproszone światło zdawało się wypływać z niej oraz ze ścian. Miejsce, w którym eksplodowały ładunki, ziało czernią, tak jakby coś, co emitowało światło, zostało uszkodzone. Nie miał jednak więcej czasu na obserwację, gdyż nagle rozległ się krzyk Howee'a.

Coś przypominającego gigantycznego komara przywarło mu do szyi, zaś kolejne stworzenia nadlatywały ze wszystkich stron. Sanson strzelił do jednego z nich, i chybił, zaś dowódca natychmiast zorientował się, że znaleźli się w beznadziejnym położeniu. Sytuacja wymagała raczej użycia środków owadobójczych lub co najwyżej shotguna, nie zaś karabinów M-4.

– Wycofać się! – zawołał, bezzwłocznie wracając do bramy i przez nią.

Sierżant chwycił zaatakowanego żołnierza i przerzucił go przez plecy, po czym pomknął jak piorun przez drzwi, podczas gdy reszta oddziału go osłaniała, ostrzeliwując całe pomieszczenie. Howee był jednak jedyną ofiarą, gdy komary zatrzymały się w sporej odległości od bramy.

Leżał już na ziemi i pochylał się nad nim miejscowy sanitariusz, kiedy porucznik, który ostatni wszedł do akcji i ostatni z niej wyszedł, przeszedł w końcu przez bramę. Stworzenie, które w półmroku po drugiej stronie wyglądało jak gigantyczny komar, w jasnym świetle pogodnego dnia w żadnym razie już go nie przypominało. Miało zielonkawą barwę i długie skrzydła naznaczone licznymi żyłkami. Korpus był całkowicie jednolity, bez wyraźnie odcinającej się głowy, kadłuba czy odnóży. Istota była jednak przyczepiona do szyi żołnierza i dziwacznie pulsowała.

– Co on mu robi? – zapytał Sanson odsuwając się o krok.

Z jego ciała wystawały czułki, w miarę jak się przypatrywali, dostrzegali, że zagłębiają się w skafandrze środowiskowym i przypuszczalnie w ciele Howee'a. Twarz mężczyzny była nabrzmiąta jak balon, z ust wystawał mu język i wyglądał na martwego.

– Mamy tutaj poważne zagrożenie biologiczne – stwierdził Bill Weaver. – Przynieście worek na zwłoki. Musi znaleźć się w pomieszczeniu ochrony biologicznej poziomu czwartego.

– Musi jechać do szpitala – sprzeciwił się temu Glasser.

– Jak dla mnie, to wygląda na całkiem martwego – powiedział naukowiec. – A wolałby, żebyśmy nie zakazali całego świata tym czymś. Musimy znaleźć sposób na ich powstrzymanie, jeśli zechcą przejść przez bramę.

– Zatrzymały się w pewnej odległości od niej – rzekł Miller, który poszedł do ambulansu i wrócił z workiem na zwłoki. – Sanson, pomóż mi go w to zapakować.

– Co my, do cholery, mamy zrobić – rzucił porucznik potrząsając głową. – Jeśli te przekłete demony wrócą, możemy zacząć do nich strzelać. Ale są za małe, za szybkie. Może powinniśmy użyć shotgunów.

– Raczej wielkich puszek środka na komary – podsunął Woodard, gdy starszy sierżant sztabowy i starszy szeregowy wsadzili martwego komandosa do foliowego worka i pospiesznie zamknęli go razem z owadem w środku. – Albo tych wozów z działkami wodnymi.

– Nie mamy pewności, że środek na owady je zabije – zaznaczył Weaver. – Ale możemy je schwytać, gdy się tu przedostaną. Musimy zdobyć trochę tych lekkich sieci do chwytania ptaków i rozwiesić je nad tą bramą. Najwyraźniej te stwory nie będą miały ich czym przeciąć. Jak oni to nazywają? „Babie lato” czy coś w tym stylu.

– Gdzie tego szukać? – spytał porucznik Glasser.

– Najbliżej pewnie będzie Uniwersytet Florydy – podpowiedział fizyk wzruszając ramionami. – W międzyczasie...

– Padnij! – ryknął starszy szeregowy, mierząc swoim M-4 w pierwszego stwora, który przedarł się przez bramę.

Weaver zrozumiał, dlaczego najwidoczniej nieżyjąca już pani Edderbrook nazywała je demonami. Istota mierzyła około półtora metra i była czworonożna. Miała małe oczka ocienione kościstymi wyrostkami, a spora ilość podobnych wyrostków ozdabiała także jej pierś i plecy. Głowa, o rozmiarach mniej więcej psiego łba, kończyła się dziobem niczym u drapieżnego ptaka. Zasadniczo miała ona zielony kolor, choć miejscami była nakrapiana brzydkim fioletem. Jej przednie i tylne łapy wieńczyły szpony. Ponadto miała kolce sterczące z ramion i piersi oraz cały kołnierz kolców wokół krótkiej szyi. I była szybka.

Pierwszy stwór, który przedostał się przez bramę, chwycił Woodarda za nogę i powalił go na ziemię, szarpiąc jego kończyną niczym wściekły terier, bez większego wysiłku rozrywając dziobem ciało, czemu towarzyszył odgłos trzaskających kości. Ale na tym nie koniec. Stworzenia zdawały się wylewać przez bramę niekończącym się strumieniem.

Bill zrobił krótki przegląd sytuacji i uznał, że zdecydowanie nie jest to najlepsze miejsce dla fizyka. Wziął nogi za pas i skierował się ku budowanej linii okopów, licząc na to, że nie dopadnie go żadna z tych istot i nie zginie w chaotycznym strzelaniu. Gwardia Narodowa otworzyła już ogień i wyraźnie słyszał świateł pocisków, gdy pędził ku umocnieniom obronnym. Słyszał również wrzaski za plecami i miał nadzieję, że komandosy mieli dość rozsądku, żeby również wziąć nogi za pas.

\* \* \*

– Sanson, Miller ! – krzyknął Glasser, padając na jedno kolano i otwierając ogień do bestii, która trzymała Woodarda za nogę. – Za mną!

We trzech sformowali trójkąt i strzelali nieprzerwanie do stworów, wysypujących się przez bramę. Jednak jeśli nie otrzymaliby wsparcia ze strony Gwardii Narodowej, w kilka sekund byłoby po nich. Gwardziści trzymali w pogotowiu wszystkie swoje karabiny maszynowe, zarówno plutonowe ciężkie M-240, jak i lekkie karabiny automatyczne piechoty M-249, wymierzone w bramę i obsadzone ludźmi. Kiedy więc pierwsze bestie wyłoniły się z bramy, musieli tylko odbezpieczyć broń i otworzyć ogień.

Gdy sześć M-240 i piętnaście lekkich M-249 wypełniło bramę ołowiem, w efekcie rozpełtało się istne szaleństwo. Intruzi byli mocno opancerzeni, ale odpowiednia ilość żelaza mogła ich uśmiercić, zatem ich zwłoki szybko utworzyły stertę pod bramą, spod której rozlewała się szerokim kręgiem zielona posoka, podczas gdy oddział Navy SEAL stopniowo się wycofywał. Kiedy tylko komandosi znaleźli się poza bezpośrednim zagrożeniem i stało się jasne, że piechota jest w stanie powstrzymać wroga, cała trójka „Fok” odwróciła się plecami do bramy i popędziła do linii ziemnych umocnień.

Weaver machał do nich z okopu za głównymi umocnieniami obronnymi, oni zaś ruszyli pędem prosto w jego stronę. Przebiegli pomiędzy płytkim stanowiskiem strzeleckim, gdzie leżał jeden z gwardzistów narodowych, posyłając intruzom dobrze wymierzone serie z M-16A2 i krzycząc przy tym wniebogłosy, oraz drugim nieco głębszym, staranniej przygotowanym stanowiskiem, gdzie leżał żołnierz obsługujący M-249. Strzelał seriami po trzy, pięć strzałów, pomiędzy którymi wydawał z siebie odgłosy przypominające wariacki chichot.

Glasser, Miller i Sanson zanurkowali do głębokiego okopu głowami w dół, po czym zajęli pozycję i dołożyli własny ogień do trwającej rzezi.

\* \* \*

Sanson wziął na muszkę jednego ze stworów i wypalił doń precyzyjnie, przypatrując się trafieniom. Wycofując się, musieli pluć ołowiem dookoła tak szybko, jak tylko było to możliwe, i choć nie mógł mieć pewności, zdawało mu się, że większość pocisków odbija się od obcych istot. Na pewno, gdy trafił jednego z potworów w głowę, on nawet tego nie zauważył. Stwory miały zachodzące na siebie łuskowate płytki pancerzy, jak również kościste osłony pod spodem. Skuteczniejsze były strzały mierzone w ich boki, jako że przebijały zbroję i zagłębiały się w cielsku broczącym zielonym juchą. Nie mógł jednak stwierdzić, czy strzał w głowę był śmiertelny, ponieważ niemal jednocześnie z jego trafieniem bestię dosięgnął pocisk z jednego z M-240, i padła natychmiast. Karetka, która dostarczyła worek na zwłoki dla Howee'a, znajdowała się na linii ognia ustawionych w półkręgu gwardzistów narodowych, zaś stworzenia usiłowały wykorzystać ją jako osłonę przed kulami. Jednak po drugiej stronie ich pozycji było puste pole i strzelający stamtąd gwardziści szybko wypełniali przestrzeń zwłokami obcych.

Najwyraźniej jednak intruzi pomimo ognia rozprzestrzeniali się coraz bardziej, docierając dalej od bramy.

– Potrzebujemy większej siły ognia – krzyknął Glasser przez maskę.

Nie skończył jeszcze tego mówić, gdy salwy z moździerzy zaczęły opadać na polankę wokół bramy. Moździerze nie uśmiercały jednak stworów, chyba że pociski spadały bezpośrednio na nie, ponieważ odłamki nie wyrządzały im większej krzywdy.

Weaver usłyszał ryk silnika samochodu za plecami, obrócił się, i ujrzał jeden z wozów wsparcia. Wielka pięcotonowa ciężarówka zatrzymała się za okopami. Zamontowano na niej wielkie działko automatyczne na okrągłej podstawie, które wkrótce zaczęło grzmieć niczym młot pneumatyczny, dołączając się do lawiny ognia całej kompanii.

– Ma Deuce – rzekł porucznik, mierząc dokładnie i posyłając krótką serię. – Kaliber 50. Dobrze wykonuje swoją robotę.

Pancerze stworów nie były w stanie powstrzymać dużych pocisków działka. Masywna amunicja przeszywała wszystko – głowy, korpusy, kończyny. Strzelec obsługujący działko znał swój fach, ostrzeliwując gromadę intruzów z zewnątrz w kierunku środka, spychając ich nabrzmiewającą falę, tak że musiała ścieśnić się wokół bramy. Wówczas jednak przerwał ogień.

– Musi zmienić lufy – wyjaśnił komandos na widok wzdrygającego się przed tym widokiem Billa. – Chcesz broń?

– Nie wiedziałbym, jak jej użyć – przyznał fizyk. – Ale chętnie się nauczę ją obsługiwać, gdy tylko się stąd wydostaniemy.

– Muszę odnaleźć dowódcę kompanii – oznajmił Glasser. – Miller, Sanson, miejcie oko na doktora. Jeśli zrobi się za gorąco, zabierzcie go stąd. – Z tymi słowy wstał i pobiegł za linie.

– Jak było po drugiej stronie? – spytał Weaver.

– Wyglądało to tak, jakbyśmy znaleźli się w wielkim zielonym żołądku – odpowiedział starszy sierżant. Ściągnął swoją maskę i znów zaczął żuć gumę. – Myślę, że to było wnętrze jakiegoś olbrzymiego organizmu. Naprawdę olbrzymiego. Pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy, miało co najmniej 100 metrów długości.

– Cholera – rzucił starszy szeregowy, wyrzucając pusty magazynek i zatrzasnąc nowy.

Przyczyna jego zachowania była jasna. Przez bramę zaczął się przedostawać nowy gatunek obcych istot. Były one dwunożne i dość duże, ale poza tym w zasadzie podobne wyglądem do wcześniejszych najeźdźców. Wielka różnica polegała na ich uzbrojeniu. Górna część ich dziobów wydawała się pusta w środku i doktor wkrótce ujrzał, jak zaczynają razić linie obrońców pociskami. Dwa stwory skoncentrowały się na dużym działku automatycznym, które już wróciło do akcji, i dwaj członkowie obsługi zostali zasypani gradem pocisków – ich krew rozbryznięta się po całej ciężarówce pomalowanej w barwy pustynnego kamuflażu.

Stworzenia były też ciężko opancerzone, wyglądało na to, że nic sobie nie robią z większości docierających do nich pocisków. Tylko ciężka amunicja z karabinów maszynowych M-240 przebijała ich pancerze, więc bestie skupiły się szybko na tym, by wyeliminować jedno po drugim stanowiska tej właśnie broni.

– Czysta rozkosz – rzucił Weaver, obracając się na ziemi i wyjmując swój telefon komórkowy. Zauważył, że ekipy dziennikarskie ustawiły się za liniami strzelających żołnierzy. Inwazja obcych na żywo. Czysta rozkosz.

Wyjął palmtop i odszukał numer, który niedawno otrzymał, po czym wybrał go.

– Biały Dom, biuro doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– Mówi doktor William Weaver – powiedział. – Chciałbym rozmawiać z panią doradczynią, jeśli nie jest w tej chwili zajęta.

– Przykro mi, doktorze, w tym momencie jest na spotkaniu – oświadczyła sekretarka. – Czy to, co słyszę, to strzelanina?

– Tak – odrzekł. – Może zechce pani przekazać jej wiadomość, że właśnie jesteśmy świadkami inwazji obcych istot, zaś kompania Gwardii Narodowej, która próbuje powstrzymać najeźdźców, wkrótce zostanie zalana przez hordy wroga. Wszystko powinno już być na CNN. To właściwie wszystko, co chciałem powiedzieć. Dziękuję. Do widzenia – po tych słowach przerwał połączenie.

\* \* \*

Oddział SWAT porucznika VanGeldera z radością pozwolił Gwardii Narodowej zabezpieczyć miejsce. Ale z drugiej strony to było Lake County, zaś brama stanowiła wyraźne i realne zagrożenie. Poleciał więc swoim ludziom pozostać w okolicy, a w pokojach na piętrze domu Ederbrooków założył swoją kwaterę dowodzenia. Gdy rozległy się strzały, większość członków jednostki specjalnej znajdowało się w jednym z pokojów domu. Natychmiast podbiegli do okna, żeby ujrzyć rozwijającą się wymianę ognia.

Większość członków SWAT było uzbrojonych w MP-5, które nie sprawdzały się zbyt dobrze w walce. Jednak w wozie jednostki specjalnej znajdowała się również cięższa broń. Była tam nawet tak ciężka broń, że jednostka SWAT miała poważne problemy za jej posiadanie.

– Jenson, Knapp – wycedził, gdy mniejsze stwory zaczęły wylewać się przez bramę, a oddział

Navy SEAL rozpoczął wycofywanie się. – Przynieście Barretty.

\* \* \*

Bill Weaver wystawił głowę nad krawędzią okopu w idealnym momencie, by ujrzeć jedną z wielkich bestii zapadającą się z powrotem, z dziurą ziejącą w piersi. Z tyłu rozległ się głośny huk, słyszalny nawet wśród odgłosów panującej wszędzie wokół strzelaniny.

– To karabin Barrett – oznajmił starszy sierżant sztabowy Miller, wypluwając strugę przesączonej tytoniem śliny. – Pewnie chłopcy ze SWAT. Doktorze, zdaje się, że czas się stąd zbierać.

– Zgadzasz się – odpowiedział fizyk w chwili, gdy jeden ze stworów obrócił się i posłał strumień pocisków w ich kierunku. Weaver przypadł do ziemi i spojrzał za plecy, gdzie część pocisków wbiła się w drzewo. Wyglądały jak kolce o długości około 5 centymetrów, lśniły czernią na tle szaro-brązowej kory. – Tylko jak?

– Tuż przy ziemi – rzucił dowódca. – Przeczółgaj się do tyłu. Trzymaj nisko tyłek i głowę. Przed nami jest wystarczająco wysoki parapet, by nas osłaniał, o ile będziemy trzymać się nisko. Będziemy tuż za tobą.

\* \* \*

VanGelder celował starannie, żeby broń namierzyła kolejnego stwora, po czym zmrużył oko, zerkając przez celownik. Przy tej odległości lepiej byłoby użyć żelaznego celownika, ale nie było czasu, by zdjąć lunetę, a tym bardziej na to, aby wyzerować klasyczny celownik. Używał więc tego, co miał pod ręką. Namierzył kolejną bestię na celowniku lunetki, nacisnął spust, i posłał kulę.

– Mam go – rzucił Knapp. Stał obok z kolejnym magazynkiem i zerkał na porucznika. – Na lewo, potwór w prześwicie.

Dowódca jednostki specjalnej próbował powstrzymać histeryczny śmiech, gdy wycelował w lewo i ustrzelił kolejną obcą istotę. Niestety, wszystko to było jak splunięcie do oceanu. Prawe skrzydło kompanii Gwardii Narodowej cofnęło się, zaś większość średniej wielkości karabinów maszynowych została zlikwidowana przez atakujących. I wciąż wylewało się coraz więcej nowych stworzeń.

Wystrzelił ponownie, zmienił magazynek, po czym zrobił szybki przegląd sytuacji. Większość gwardzistów narodowych starało się wygrzebać ze swoich stanowisk i uciec. W żadnym razie nie zamierzał ich za to krytykować; sytuacja zdecydowanie wymykała się spod kontroli.

Z drugiej strony, pomyślał, niech mnie diabli, jeśli uda im się dokonać inwazji na Lake County, przynajmniej nie póki on będzie miał tu coś do powiedzenia.

– Łap się za radio. Wezwij dyspozytora. Każ im przysłać wszystko, co mamy. Jeśli nie zdołamy powstrzymać ich przy bramie, to znaczy, że w ogóle nie potrafimy ich powstrzymać. Do licha, nadajcie jawną prośbę o wsparcie cywilne – przyda się każdy ochotnik z bronią dużego kalibru. Mogą być nawet strzelby myśliwskie. Rusz dupę. Musimy je tutaj zatrzymać.

– Robi się – rzucił Jenson. – Tam jest ekipa telewizyjna, im też to przekażę.

VanGedler skinął głową i znów spojrzał przez celownik lunety. Potwór w prześwicie.

\* \* \*

Sanson przyklęknął przy oknie, posyłając pojedyncze kule z broni ustawionej na ogień ciągły. Miller przechwycił jeden z porzuconych M-240, którego obsługa już nie żyła, i otworzył ogień z drugiego okna.

Doktor Weaver zajął pozycję na kanapie w jednym z pokoiów i przyglądał się aktywności bramy. Jak dotąd była jedna brama, która powstała w następstwie eksperymentu ludzkiego, oraz jedna, która najwyraźniej pojawiła się wskutek wrogiego działania obcych. Istnienie pierwszej bramy miało nawet sens. Bozon Higgosa wytworzył coś w rodzaju efektu tunelu czasoprzestrzennego,

prowadzącego na inną planetę w tym wszechświecie lub w innym. Druga brama nie miała sensu. Pozostawało jeszcze hipotetyczne przejście, przez które na Ziemię trafił Tuffy. Czy mogło ich być więcej? I dlaczego pojawiły się teraz?

Ponownie sięgnął po telefon i wybrał numer.

– Garcia.

– Czy detektory przyjechały?

– Jakąś godzinę temu i miałeś rację. Brama wydziela całkiem stały strumień subatomowych cząstek. Sądzę, że ulega powolnej degradacji.

– W porządku, dobrze – orzekł Weaver.

– Czy to, co słyszę, to strzelanina? – spytał sierżant Garcia.

– Tak, nastąpiła inwazja – potwierdził Bill i ziewnął. – Potwory z ósmego wymiaru czy coś takiego. Wydaje się, że zaraz nas zaleją.

– Jezu! Zabieraj się stamtąd!

– Cóż, tak jakby jesteśmy odcięci – wyznał naukowiec. – Posłuchaj, jakie to są cząstki?

– Miony i coś jeszcze – oświadczył żołnierz. – Naprawdę chcesz teraz o tym mówić?

– Tak.

– No dobrze, jest więc trochę mionów, tak jak powiedziałem, ale otrzymujemy też odczyty jakichś innych. Nie są to żadne mi znane, nie mezony, nie kwarki, mają bardzo wysoką masę. Zgaduję, że mogą to być bozony.

– To się nie trzyma kupy – oznajmił Weaver, marszcząc brwi, gdyż karabin maszynowy zagłuszał go niemal ciągłym warkotem. – Nie wielkie cząstki, miony. Spodziewałbym się czegoś takiego jak neutrina.

– Tak się składa, że chwilowo nie mamy detektora neutrin – rzekł sarkastycznie Garcia. Wykrywanie neutrin wymagało wielkich zbiorników substancji chemicznych, zazwyczaj w ilości dziesiątków tysięcy litrów. Gdy neutrina natrafiają na specjalne chemikalia, są przyspieszane do prędkości większej od prędkości światła, wytwarzając promieniowanie Czerenkowa rozpoznawalne jako fioletowo-niebieskie rozbłyski świetlne.

– Japończycy zdołali zminiaturyzować taki zbiornik do rozmiarów cysterny czy coś w tym stylu – mruknął fizyk i po raz kolejny ziewnął. – Może uda się to pożyczyć. Ale cała reszta ma sens. Jeśli ulega degradacji, przypuszczalnie nastąpi wzrost ładunku każdej kolejnej z uwalnianych cząstek. To znaczy, że początkowo są mniejsze bramy, zaś większe potem, w miarę jak postępuje rozpad. Lub może będą one sięgać coraz dalej. A pierwsze bramy, które się otworzą, pojawią się w pobliżu. W końcu zaczyna to nabierać sensu.

Sanson podszedł i wcisnął pistolet w pustą dłoń naukowca.

– Wiesz jak tego używać? – zapytał starszy szeregowy.

– Trzeba wycelować i nacisnąć? – rzekł Weaver nieco rozbawiony.

– Tak, mniej więcej – zaśmiał się komandos z Navy SEAL. – Ale najpierw sprawdzasz, czy jest odbezpieczony. Potem dotkniesz spustu i wystrzeli. Pamiętaj tylko, żeby mierzyć z tego do złych gości.

– Posłuchaj, jeden z komandosów właśnie wręczył mi pistolet – powiedział Bill, trzymając palec z dala od spustu. – To chyba zły znak. Pogadamy później, dobra?

– Dobra – odpowiedział Garcia. – Rozpada się, uwalnia cząstki, cząstki otwierają bramy.

– Coś w tym stylu. I zwiększa swój ładunek, co oznacza albo większe bramy, albo bramy bardziej oddalone od siebie wraz upływem czasu – Tuffy był mały, czy to oznacza małą bramę? Jednak była wystarczająco duża, by pomieścić Mimi? Drzwi frontowe otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadł



jeden z mniejszych stworów, wyjął jak szalony. Sanson obrócił się i posłał mu serię, która odbiła się od pancerza. Gdy potwór zwrócił się w stronę komandosa, fizyk wycelował i wypalił ze swojego pistoletu. Pierwsza kula poszybowała wysoko, strącając gruz ze ściany, ale gładko obniżył lufę i drugi strzał spowodował rozbryzg zielonkawej posoki. Dwa kolejne pociski załatwiły sprawę. Istota wierzgała nogami i szarpała się konwulsyjnie na podłodze, brudząc zieloną juchą niebieski dywan.

– Na nas już czas – oznajmił Weaver.

– Doktorze...

– Do zobaczenia potem, Garcia.

Jeszcze jedna bestia wskoczyła do pokoju i Bill strzelił do niej, chybił, wziął poprawkę, i za drugim razem trafił. Druga seria trafiła stwora w zad, a jego nogi opadły bezwładnie. Mimo to pełzał naprzód na frontowych nogach. Dwa kolejne strzały Weavera znów chybiły celu, wybijając otwory w przeciwległej ścianie i roztrzaskując szkło obrazka przedstawiającego zdjęcie jakiegoś marynarza na tropikalnej wyspie. To był ostatni pocisk, zamek H&K zatrzaskał się na pustym magazynku.

– Chyba skończyły mi się kule – krzyknął, wstając i cofając się za kanapę.

– Trzymaj! – zawołał Sanson rzucając mu magazynek.

Weaver chwycił go, lecz nie miał pojęcia, co należy z nim zrobić. Na szczęście był inżynierem, więc powinien domyślić się, jak to działa. Obca istota pełzła ku niemu, on zaś cofał się w głąb pokoju, licząc na to, że odciągnie ją od dwóch „Fok”, jednocześnie usiłował ustalić, jak przeładowuje się magazynek. Spójrzmy, dwie dźwignie na chwycie broni, jedna blokowana przez zamek. Dźwignia blisko spustu. Poruszył dźwignią, i pusty magazynek wypadł na podłogę. Czubki kul do przodu, wsunąć magazynek. Eureka! Jednak zamek nie przesunął się do przodu i naciskanie spustu nie przynosiło efektu. Chwycił zamek, odciągnął do tyłu i po chwili sam zaskoczył. W tym momencie stwór niemalże przyczołgał się do niego. Mężczyzna odskoczył w tył, po czym wycelował pistolet i wystrzelił kilkakrotnie.

– Uważaj! – warknął Miller, gdy jeden z pocisków załomotał w jego kamizelkę kuloodporną. – Oszczędzaj kule!

– Hej, załatwiłem go, prawda? – zainteresował się w odpowiedzi, gdy nagle zadzwonił jego telefon.

– William Weaver – rzekł, trzymając dymiącą lufę pistoletu w górze, tak żeby nie postrzelić żadnego komandosa.

– Mówi doradca do spraw bezpieczeństwa, oglądamy wiadomości, gdzie pan jest?

– W domu Edderbrooków – odpowiedział. – Zdaje mi się, że jesteśmy odcięci.

– Jezus! Niech pan się stamtąd wynosi.

– To raczej niemożliwe – odparł, gdy kolejny z tych przeklętych stworów rzucił się przez drzwi. Tym razem wymierzył starannie i zdołał trafić go pierwszym strzałem. Jednak pocisk zaledwie odłupał kawałek pancerza obcemu, który obrócił się i natarł na niego.

– Proszę chwilkę poczekać – rzucił do słuchawki, wskoczył za kanapę i wyskoczył z drugiej strony, strzelając bestii w plecy. Jeden z pocisków musiał ugrzęznąć w kręgosłupie, ponieważ jej tylne nogi stały się bezwładne, dokładnie tak samo jak w przypadku poprzedniego intruza. Wymierzył dobrze i wypalił parę razy w jej kark, aż przestała się poruszać. Zorientował się, że stracił kontrolę nad sobą, gdy zamek znów szcęknął głucho, dając znak, że magazynek jest pusty. – Znów skończyły mi się kule! – zawołał. – Przepraszam, ale jestem teraz trochę zajęty. Możemy porozmawiać później?

– Oczywiście – zgodziła się doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– Powiedziałem Garcii, co się moim zdaniem dzieje – rzekł. Nie udało mu się schwycić

magazynek rzuconego przez Millera, ale złapał w garść kolejny od Sansona. Przeładował i podniósł drugi pełny magazynek z podłogi, jednocześnie mówiąc do telefonu. Najważniejsza jest podzielność uwagi.

– Porozmawiamy później – odparła specjalistka do spraw bezpieczeństwa.

– Tak, później – powtórzył, gdy dwie nowe kreatury zjawily się w drzwiach, a trzecia wpadła przez roztrzaskane okno. – Słuchajcie! Tym razem chyba sobie sam nie poradzę!

Starszy szeregowy Sanson odwrócił się i powalił strzałami stwora przy oknie, zaś Miller ubił jednego z tych, które wpadły przez drzwi. Opróżnił jednak cały magazynek, więc ostatni stwór pozostał dla Weavera.

– Na górę, po schodach – rzucił starszy sierżant popychając naukowca przed sobą.

Na szycie schodów stała jednak masywna barykada z wielkiego drewnianego łoża.

– Hej – wrzasnął Miller. – Przepuście nas!

– Łap – odpowiedział jakiś głos po drugiej stronie zapory i jednocześnie spadła w ich kierunku część grubej liny.

Starszy sierżant sztabowy podał ją fizykowi, jednak na chwilę zatrzymał się, wziął jego pistolet i przesunął jedną z dźwigni. – Trzeba zabezpieczyć.

– Racja – odparł Bill. – Dzięki za lekcję. – Wrzucił telefon komórkowy do jednej kieszeni i wetknął pistolet do drugiej, po czym z pomocą starszego sierżanta wdrapał się po linie i po chwili opadł na podłogę po drugiej stronie podestu schodów.

Dwaj komandosi poszli w jego ślady, następnie zajęli pozycje na górnych piętrach.

– VanGelder – odezwał się głos za nim. – Jednostka specjalna SWAT z Lake County. Kim pan jest?

Weaver odchylił głowę i spojrzał w górę na jasnowłosego olbrzyma.

– Doktor William Weaver – przedstawił się. – Jestem fizykiem badających te bramy.

– Jakie wnioski? – spytał VanGelder.

– Lepiej, żeby Ray Chen nigdy się nie urodził – odpowiedział naukowiec.

VanGelder zachichotał i wskazał na pistolet.

– Wie pan, jak się tym posługiwać?

– Zabiłem cztery lub pięć stworów na dole – odparł Weaver. – Ale szczerze mówiąc, nie. I wciąż brakuje mi kul.

– Knapp ma H&K – rzekł dowódca jednostki specjalnej. – Przekaze panu parę magazynków. Chce pan shotgun?

– Bardzo podoba mi się shotgun – wyznał Bill.

– Dobrze, zostanie pan przy barykadzie i będzie pilnował, żeby żaden nie dostał się na górę – polecił porucznik VanGelder i odszedł. – I dostanie pan shotgun.

Weaver wyjrzał przez szczelinę w barykadzie, ale najwyraźniej żaden ze stworów nie pchał się na górę. Na dole rozległ się jakiś trzask i dziwaczne wycie, lecz intruzi nie byli chyba zainteresowani wyższymi piętrami. Wszędzie wokół domu trwała strzelanina i dało się słyszeć charakterystyczny odgłos koleców uderzających w jego ściany oraz przekleństwo kogoś w jednym z pomieszczeń.

Porucznik stanął i upuścił cztery magazynki na podłogę, po czym wręczył mu shotgun.

– Cztery naboje w zapasie i jeden w komorze – rzekł członek SWAT. – Wiesz, jak tego używać?

– Odciąga się chwyt do siebie – powiedział doktor pokazując. Zrobił, co widział, a nabój wypadł z boku. – Widziałem w telewizji.

– Tutaj się przeładowuje – poprawił go VanGelder oschle, wskazując na wąski otwór w dolnej części i wręczając mu upuszczony przez niego nabój. – Jeśli chodzi o celowanie, to sam się domyśl.

– Postawił pudełko z amunicją na podłodze i wrócił na swoje stanowisko w jednym z pokoi.

Weaver wsunął nabój z powrotem do shotguna i wystawił lufę przez otwór w barykadzie w sam raz, by ujrzeć jedną z tych psich bestii pełznącą w górę po schodach. Wyglądało na to, że obca istota miała trudności z ich pokonaniem, unosiła nogi zbyt wysoko i nie trafiała w niektóre schodki. Posłał jej trochę ołowiu z shotguna, co zważyło ją z nóg. Gdy ze straszliwym wyciem sturlała się na dół, wymierzył jej kulę w bok. Solidna porcja gorącego ołowiu zrobiła jej dziurę, w którą można byłoby zmieścić obie pięści. Stwór wierzgnął i znieruchomiał, ale w tym czasie kolejny już wspinał się po schodach. Strzelił do niego, ten zaś nie padł, lecz nadal wlaził z brzuchem blisko schodów. Strzelił jeszcze dwa razy i drugi pocisk najwyraźniej przeszył jakiś ważny narząd, ponieważ potwór zatrzymał się i zwinął w kłębek, wgryzając się we własny brzuch. Wypalił raz jeszcze i po chwili broń wydała odgłos oznaczający, iż komora jest pusta.

Gorączkowo załadował nowe naboje, lecz gdy spojrzął, na schodach nie było żadnych nowych intruzów. Wsparł głowę o barykadę i przez dosłownie kilka sekund rozważał myśl, że dla fizyka jest to naprawdę głupie miejsce, by umrzeć. Kiedy otworzył oczy, na schodach czaiły się już trzy stwory, węszące wokół martwych kamratów.

Strzelił do tego, który najostrzej go zaatakował, powalając istotę od razu, ale dwie pozostałe niezdarnie rzuciły się w górę, ku niemu. Jakimś cudem dorwał jednego, jednak trzeci wdrapywał się już na barykadę, a znów zabrakło mu amunicji. Upuścił shotgun i podniósł pistolet, na ślepo opróżniając magazynek w brzuch potwora, który znalazł się w zasięgu ognia bezpośredniego. Gorący ołów powstrzymał bestię, ale zdołała ona częściowo ściągnąć barykadę swoimi szponami. Teraz na schodach było już znacznie więcej stworów. Zmienił magazynek i zaczął strzelać do nich tak szybko, jak tylko potrafił.

Miał już śmierć w oczach, gdy nagle na zewnątrz domu rozległy się nowe salwy ognia. Shotguny, strzelby myśliwskie, ciężkie blam-blam-blam, brzmiące trochę jak wielkie działko automatyczne na ciężarówce, a także jakieś głośniejsze huki, które nie pasowały mu do niczego, co znał. Monstra nie przestawały jednak szarpać szponami barykady, nadal więc nieprzerwanie mierzył do nich i strzelał. Nagle u jego boku znalazł się Sanson. Miał inny karabin i staranniej wybierał cele, powalając jednego przeciwnika za drugim.

– Co się dzieje na zewnątrz? – ryknął Weaver. Cała ta strzelanina niemalże pozbawiła go słuchu.

– Chyba zjawiała się kawaleria – wyjaśnił komandos.

\* \* \*

Jim Holley nigdy w całym swoim życiu nie parał się czymś, co większość ludzi nazywa „normalną pracą”. Po wyjściu z wojska wrócił do swojego rodzinnego miasteczka Eustis i wykonywał dorywczo to jedno, to drugie zajęcie. Sprzedawał czasopisma, kierował kilkoma fundacjami dobroczynnymi, bawił się w politykę i spędzał sporo czasu, zajmując się handlem hurtowym i detalicznym. Najbardziej jednak wziął sobie do serca zabawę z bronią.

Wszystkie, mocno ograniczone, wolne środki finansowe przeznaczał na kolekcję broni, która w ciągu lat rozrosła się do całkiem imponujących rozmiarów. Był doskonale znany we wszystkich sklepach militarnych w rejonie Eustis i w każdy weekend obowiązkowo pojawiał się na każdym organizowanym w okolicy pokazie broni czy też zawodach strzeleckich.

Znajdował się akurat w sklepie z przyborami wędkarskimi i bronią Dużego Boba, przyjacielsko przekomarzając się z jego właścicielem na temat różnicy pomiędzy brytyjskim 303 i 30-06, kiedy obaj usłyszeli w radio apel jednostki specjalnej SWAT z prośbą o wszelkie możliwe wsparcie ze strony ludności. Jeśli Gwardia Narodowa i oddziały SWAT nie mogły sobie poradzić z sytuacją, to musiało być naprawdę źle.

Duży Bob przewałkował cygaro z jednego kącika ust do drugiego i pokręcił głową.

– Chyba nadszedł czas, żeby wytoczyć armaty, Limbo. Co ty na to?

Jim tylko skinął głową i obaj pomaszerowali na zaplecze sklepu.

Holley miał sporą kolekcję, natomiast Bob Taylor zajmował się dostarczaniem wszystkiego, czego tylko mogliby zażyczyć sobie jego klienci. Zaś jego wizja tego, czego klienci mogliby zapragnąć, była mocno eklektyczna. Magazyn na zapleczu, do którego wpuszczał tylko wybranych przyjaciół, był spełnieniem marzeń kolekcjonera broni. Bob miał dwa wielkokalibrowe półautomatyczne karabiny wyborowe Barrett, M-82A1 i M-95. W arsenale znajdowały się też karabiny Armalite, MP-5, Garand, Thompson, Steyr AUG, a nawet Sten oraz wiszący na najbardziej eksponowanym miejscu Tyrannosaur. 477. Na podłodze stał wielki karabin na dwójnogu – fiński: Lahti m/39 20 mm – „przenośna” machina destrukcji.

Do chwili, kiedy otworzyli tylne drzwi i zaczęli ładować amunicję, sklep zaczął zapełniać się ludźmi. Niektórzy przyszli po pomoc, ponieważ usłyszeli, co się dzieje, i uznali, że nadszedł dzień, gdy powinni sprawić sobie jakąś broń. W większości jednak był to zwyczajny tłum gapiów i piniaczy. Ci ostatni szybko wtargnęli na zaplecze i zabrali się za opróżnianie pomieszczenia i załadunek broni.

W niespełna kwadrans dwa pickupy były już po brzegi załadowane bronią, której wystarczyłoby na wyposażenie bardzo eklektycznej kompanii piechoty. Wkrótce potem cały konwój podniszczonych pickupów, minivanów i zwykłych aut ruszył ulicą w kierunku Jules Court.

Na pierwszego stwora natknęli się prawie przecnicę dalej. Niszczył dziecinny rowerek, którego właścicielka, mała dziewczynka, siedziała na drzewie i wrzeszczała w niebogłoso.

Jim stał na pace pickupa Dużego Boba i błyskawicznie posłał w bok bestii porcję 12-gramowych pocisków ze starego Browninga, którego trzymał w pogotowiu na dachu wozu. Mimo iż jechali z prędkością 25 kilometrów na godzinę, udało mu się wysłać w stronę stwora trzy kule, które powaliły go na miejscu.

– Czas wysadzać dupy z wozu! – zawołał Bob.

– Nie! – krzyknął w odpowiedzi Holley. – Podjedź bliżej. Zmniejszmy jeszcze dystans do tego gówna!

Do chwili, gdy Jules Court znalazło się w zasięgu wzroku, zorientowali się jednak, że będą musieli opracować podejście taktyczne. Potwory wybiegły na ulicę. Niektóre były jak te pierwsze, wielkości dużych psów i pokryte kolcami. Inne były dwunożne i najwyraźniej strzelały czymś ze swoich nozdrzy. Jim strzelił do jednego z nich ze swojego Brauninga, po czym musiał złapać się dachu, gdy Bob Taylor gwałtownie zahamował.

– Mam coś specjalnego dla tych drani – rzekł były żołnierz, szperając za czymś w bagażniku i wybierając broń kalibru 20 milimetrów. Zdołał ustawić ją na dachu i wsunął magazynek. – Posmakujcie trochę fińskiego żelaza obce dziwolągi!

Naboje w karabinie 20 mm w rzeczywistości nie były zwykłymi ołowianymi kulami, lecz pociskami eksplodującymi. Gdy jeden z nich zagłębił się w cielsku jednej z większych bestii, wybuchł, rozrzucając kawałki obcego we wszystkich kierunkach i pokrywając jego najbliższe otoczenie zieloną mazią.

Reszta prowizorycznej ochotniczej milicji opuściła samochody i zaczęła zasypywać intruzów ogniem, wybierając na cel mniejsze stwory, większe zaś pozostawiając dla broni cięższego kalibru. Do wymagań dla „stałego klienta” sklepu z przyborami wędkarskimi i bronią Dużego Boba należała dobra orientacja w temacie militariów. Oznaczało to, że nie można o tak sobie rozwodzić się o względnych zaletach karabinu Sharps Buffalo, lecz po prostu trzeba wiedzieć, do czego on

rzeczywiście służy. Taylor lubił ludzi takich jak Jim, osoby z autentyczną wojskową przeszłością. Gliniarze byli w porządku, ale tylko pod warunkiem, że wiedzieli jak strzelać, by wyrządzić prawdziwe szkody, zaś Bob wiedział z własnego doświadczenia, że większość z nich nie odpowiada tym kryteriom.

Większość jego stałych klientów miało więc pewne wyobrażenie o tym, co należy robić w sytuacji, w której demony dokonywały inwazji na Ziemię przez bramę prowadzącą wprost z piekła. To znaczy: nie szczędzić ołowiu, żeby je powstrzymać.

Holley opróżnił magazynek Brauninga i sięgnął za siebie po kolejny. Wsunął go i zajął się kolejną z dwunożnych bestii, posyłając jej serię trzech pocisków w tors, która niemal ją rozpołowiła. Wydawało się, że jeden większy stwór przypada na jakieś dziesięć, może dwadzieścia mniejszych. Po obu stronach ulicy ludzie z karabinami i starszymi strzelbami oczyszczali teren z mniejszych intruzów.

Dopiero, gdy ostatni dwunożny potwór na widoku padł, Jim spostrzegł, że z pierwszego piętra jednego z domów prowadzony jest ogień do obcych. Zaś na drugim końcu drogi stała grupa żołnierzy w pustynnym kamuflażu, która trzymała szyk obronny stosowany w manewrach wycofywania się.

– Bob, musimy się ruszyć – rzucił. – Odepchnąć je z powrotem do bramy, gdziekolwiek ona jest.

– Tak – odpowiedział, jakby nieco zamyślony, właściciel sklepu. Pomachał w kierunku jakiegoś mężczyzny, który wystawił rękę z okna pierwszego piętra domu. Wewnątrz budynku również trwała strzelanina. – Niech wszyscy kierują się do tego domu! – krzyknął. – Wsiadaj i prowadź, ja zostanę przy karabinie na dachu.

Były żołnierz wskoczył do środka i wrzucił bieg, po czym powoli ruszył naprzód, podczas gdy piechota po obu stronach dotrzymywała mu kroku. Dwukrotnie zatrzymał się, kiedy nowe fale kreatur wylewały się na ulicę, raz musiał mocno się przychylić, gdy porcja czegoś przypominającego kolce zadudniła o blachę pickupa. Przekonał się, że osobliwe pociski są bardzo twarde, gdy dotknął jednego, który przebił się przez drzwi kierowcy. I bardzo ostre – niechcący skaleczył sobie palec. Miał nadzieję, że nie są zatrute.

W końcu dotarli do domu i Taylor nakazał się zatrzymać. Po drodze stracili dwóch ludzi wskutek trafień kolcami. Kiedy zaparkował na podjeździe, ze środka budynku wybiegli z wyrazami ulgi na twarzach członkowie jednostki specjalnej SWAT z Lake County, zaś z innych pobliskich domostw zaczęli wysypywać się gwardziści narodowi.

– Cieszę się, że wam się udało – odezwał się VanGelder.

– Gdzie jest brama? – odpowiedział pytaniem Duży Bob, zsuwając się po pace pickupa i następnie odbierając karabin 20 milimetrów, który ktoś podał mu z góry. Broń miała prawie dwa metry długości i ważyła jakieś 25 kilogramów, więc raczej nie nadawała się do użycia „z ręki”. Bob jednak wrzucił ją na ramię, a drugą ręką schwycił skrzynkę z przeznaczoną do niej amunicją.

– Za domem – poinformował go porucznik SWAT. – Na tylnym podwórzu aż roi się od tych stworzeń.

– Wejść do domu i będę was osłaniał z góry – rzekł właściciel sklepu.

– Dobra – VanGelder skinął głową. – Zajmij się tymi miotaczami kolców, my zabierzemy się za psy.

\* \* \*

– Nasza kawaleria to banda wieśniaków w pickupach – cierpko orzekł Sanson.

– Nie obrażaj ich – odpowiedział starszy sierżant sztabowy, splunąwszy na podłogę. – Mają większą siłę ognia, niż widziałem gdziekolwiek poza Afganistanem.

Coraz więcej miejscowych tłoczyło się na parterze domu, a jakiś wielki facet z gigantycznym

karabinem na ramieniu minął Weavera, kierując się do sypialni. Kolejny mieszkaniec okolicy w koszulce Lynard Skynard pomaszerował za wielkim gościem z trzema dużymi skrzynkami amunicji. Następni szli ich śladem z różnorodnym asortymentem broni – tylko i wyłącznie dużego kalibru. Ostatni niósł największy „normalny” karabin, jaki Bill widział w swoim życiu. Miał trzon zamkowy i przypominał nieco broń do polowań na jelenie, z tym że był dwa razy większy.

– Co to takiego? – zapytał Millera.

– Czy to jest to, co myślę, że jest? – rzekł starszy sierżant do miejscowego w tym samym momencie.

– Jeśli myśli pan, że to Tyrannosaur, to ma pan rację – odparł tamten z uśmiechem.

– Cholera – mruknął komandos. – Muszę przeprowadzić się na Florydę. W Wirginii za coś takiego grozi kara śmierci.

Strzelanina rozpoczęła się na nowo na tyłach domu i szybko zaczęła narastać, aż przeszła w jeden wielki huk niemal nie do zniesienia. Od czasu do czasu rozległ się jakiś krzyk, jednak kontratak przynosił systematyczne postępy. Początkowo fizyk słyszał strzały w okolicy parteru, potem zaś przesuwały się one coraz dalej w kierunku bramy. Nie dało się jednak powstrzymać tych istot samym tylko strzelaniem. Należało jakoś zamknąć bramę.

– Musimy zamknąć bramę – rzekł Miller, spoglądając na niego, zupełnie jakby czytał mu w myślach.

– Nie wiem, jak ją wyłączyć – przyznał Weaver. – Ale może zaparkujemy jeden z buldożerów tuż przed nią? Przynajmniej będziemy mieli jakieś ostrzeżenie o ich kolejnym ataku.

– Ja nie mam pojęcia, jak się prowadzi buldożer – zaznaczył starszy sierżant z niejakim zawstydzeniem. – A pan?

– Nie – odparł naukowiec. – Ale założę się, że któryś z miejscowych tak.

Starszy szeregowy Sanson wrócił chwilę później z facetem, który niósł „Tyrannosaura”.

– Chcemy zablokować bramę takim spychaczem – wyjaśnił mu Weaver.

– Tak mi powiedziano – odrzekł miejscowy. – To ma sens. Gdzie jest sprzęt?

– Jeden stał trochę na lewo od bramy – zauważył fizyk. – Ale też trochę za nią. Nie wiadomo, czy te stwory rozlazły się w tamtą stronę.

– Możemy objechać bramę od tyłu – oznajmił członek ochotniczej milicji. – Spróbujemy podjechać tuż pod nią.

– To może przyciągnąć ich uwagę – zwrócił uwagę starszy sierżant. – Jak na razie mamy do czynienia z jedną osią zagrożenia. Coś takiego natomiast uczyniłoby zagrożenie wielowymiarowym. Wtedy mielibyśmy naprawdę wielki problem.

– Hej, przecież jesteście Navy SEAL, prawda? – rzucił miejscowy, a spod jego brody rozległ się stłumiony chichot. – Chcecie żyć wiecznie?

– Najchętniej – odpowiedział Miller. – Ale przekonajmy się, czy wiesz, na co się porywasz.

Do chwili, gdy dotarli do pickupa, miejscowi oraz resztką kompanii Gwardii Narodowej z powrotem zajęli pozycje strzeleckie i przy wsparciu ostrzału z ciężkiej broni z domów otaczających przejście trzymali monstra na niedużym obszarze w promieniu samej bramy. Potwory wciąż usiłowały się przedrzeć, lecz dodatkowa siła ognia ze strony okolicznych mieszkańców przyszpiliła je do bramy. Gdy Bill Weaver wraz z innymi stłoczył się na przednim siedzeniu pickupa, dostrzegł jakieś stwory, które wyglądały jak obce „komary”, unoszące się tuż przy bramie. Przestraszył się ich bardziej niż miotaczy kolców czy „psów”, ale okazało się, że nie były to wcale półpasożytnicze komary. Czym są te stwory, okazało się dopiero wówczas, gdy jeden z helikopterów stacji telewizyjnej podleciał wyjątkowo blisko pola bitwy.

Jedno ze stworzeń załopotało skrzydłami i zaczęło się wznosić. Kiedy znalazło się na wysokości około 10 metrów nad ziemią, gwałtownie złożyło skrzydła i wystrzeliło z odwłoka strumień ognia. Nadspodziewanie szybko przyspieszyło, zupełnie jakby dysponowało napędem odrzutowym, po czym uderzyło w helikopter. Śmigłowiec eksplodował w locie, a jego płonące szczątki rozsypały się szeroko po okolicy.

– Jezu – rzucił jeden z grupy cywilnych ochotników, wrzucając bieg i wycofując się z podjazdu.

– Świetnie – rzekł sierżant Navy SEAL. – Mają więc obronę przeciwlotniczą. Co jeszcze? Broń przeciwpancerną? Organiczneczołgi?

– To pomieszczenie, w którym się znaleźliście – spytał Weaver – wyglądało na jakiś gigantyczny organizm, tak? Można więc sobie wyobrazić, że potrafi wyhodować coś tak dużego jak czołg.

– To nie jest dobra wiadomość – zauważył Miller.

– Nie – potwierdził Bill z wymuszonym śmiechem.

– A więc gdzie one są? – spytał Sanson.

– Przypuszczalnie w tym samym miejscu, gdzie nasze – orzekł naukowiec strapionym głosem. – Niezbyt blisko bramy. Dobra, uformowali bramę. I pewnie szykują się do inwazji. Lecz pomieszczenie, w którym byliście, było mniej więcej puste, racja?

– Zgadza się – odpowiedział Miller.

– Zatem... komar, który dopadł jednego z waszych komandosów, był czymś w rodzaju strażnika, może jakiegoś antyciała. Był zaprojektowany po to, by bronić przejścia i być może wszcząć alarm. Choć podejrzewam, że wrzucenie paru ładunków podręcznych do czyjegoś brzucha samo w sobie wywołało wystarczająco duży alarm.

– Ups – wyrwało się rozmówcy. – Twierdzi pan, że to my to sprowokowaliśmy.

– Nie – odrzekł Weaver. – Ale być może przyspieszyliśmy cały proces. Teraz więc rzucają przez bramę wszystko, co mają pod ręką. Przypuszczalnie też ich najcięższa broń nie znajdowała się w jej pobliżu. Lub może nawet jeszcze jej nie wyprodukowali, ale wkrótce to uczynią. Lub produkują ją już teraz i zjawi się lada moment.

– Lepiej więc jeśli zablokujemy tę bramę jak najszybciej – podkreślił miejscowy szarpiąc gałką skrzyni biegów.

– Na pewno – potwierdził fizyk, gdy zadzwonił jego telefon. Wyłowił go z kieszeni i odebrał. – William Weaver.

– Doktorze Weaver, mówi doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego. Dowództwo Operacji Specjalnych donosi, że straciło kontakt z oddziałem Navy SEAL, Gwardia Narodowa nie ma kontaktu z ich kompanią, zaś ostatnio jeden ze śmigłowców telewizji został przez coś zestrzelony. Zakładam, że wydostajecie się z tego obszaru? Szczerze mówiąc, nie byłam pewna, czy w ogóle zdoła mi pan odpowiedzieć.

– Wciąż jesteśmy na tym terenie – odpowiedział Weaver, gdy półciężarówka wzięła zakręt na dwóch kołach. – Spróbujemy zablokować bramę buldożerem. Niestety, nie wiem, co się stało z porucznikiem Glasserem, ale dwaj ostatni komandosi są ze mną w pickupie.

– Pickupie?

– Grupa miejscowej ludności udzieliła nam pomocy – wytłumaczył Weaver. – Powiedziałbym jakiś żart o wojowniczych wieśniakach, ale sam jestem jednym z nich. Tak czy inaczej, udało im się odeprzeć potwory z powrotem pod bramę i spróbujemy ją zamknąć lub przynajmniej zatarasować jednym z buldożerów, które oczyszczały wcześniej teren. Muszę przy tym zaznaczyć, że omawialiśmy tę kwestię i sądzimy, że przypuszczalnie istnieją też większe monstra, które jeszcze się tutaj nie zjawily. Uważamy, że powinniście sprowadzić tutaj jakieś naprawdę ciężkie jednostki.

– Tak zrobimy – odpowiedziała specjalistka do spraw bezpieczeństwa. – W drodze jest już batalion z Fortu Benning, ale zdoła dotrzeć na miejsce najwcześniej jutro rano.

– W takim razie sugeruję, żebyście sprowadzili tutaj wszystko, co tylko się da, tak szybko, jak to możliwe – podkreślił Bill. – Ci goście najwyraźniej nie mają dobrych zamiarów. A jak mniemam, dotychczas widzieliśmy zaledwie ich odpowiednik naszej piechoty. Wolę nie myśleć o tym, co jest w drodze. Powiedziałbym, proszę pani, że jest to wyścig... – przerwał na chwilę. Słyszał już gdzieś to powiedzenie. – ...Wyścig o to, by sprawdzić, kto może osiągnąć więcej jak najszybciej.

Nastąpiła chwila milczenia, ale niemalże widział, jak doradczyni skinęła głową.

– Rozumiem. Przekażę to wszystko z odpowiednim komentarzem do Pentagonu.

– Tak jest, proszę pani – skwitował to Weaver, gdy pickup zatrzymał się obok buldożera. – Muszę już iść. Odezwę się później. Do widzenia.

– Właściwie – rzucił pod nosem sam do siebie. – To jest prawie tak samo ekscytujące jak obrona artykułu naukowego.

– Chyba żartujesz – podsumował wypowiedź starszy sierżant sztabowy, który usłyszał te słowa, wychodząc z półciężarówki i obserwując zachowanie stworów. Jeden z psów siedział na buldożerze, więc go zestrzelił. Poza tym okolica wydawała się czysta.

– Może trochę – odpowiedział naukowiec. – Ale zdziwiłby się pan, jak brutalna bywa taka obrona. – Niósł shotgun i pomacał ręką kieszeń, w której trzymał zapasowe naboje. Pistolet, zabezpieczony, tak jak go nauczono, miał zatknięty za spodnie, a ostatni magazynek wetknięty do tylnej kieszeni. – Poza tym tam nie pozwalają ci strzelać do ludzi, którzy atakują cię bez powodu.

Czterech mężczyzn wdrapało się na buldożera i miejscowy odpalił silnik. Maszyna drgnęła i ruszyła w kierunku bramy.

– Zamierzam podprowadzić ją z boku i obrócić – wyjaśnił kierowca. – Będzie ciężko, nikt nie będzie mógł strzelać, bo znajdziemy się na linii ognia.

– Cóż, zrobię co w mojej mocy – rzekł Miller. Ujął Tyrannosaura. 477, zaś swój M-4 przerzucił przez ramię. – Sanson, ty zajmij się psami, ja załatwię miotaczy, doktorze, pan może zaopiekować się tym, co dostanie się na buldożera.

Miejscowy uniósł łopatę buldożera, gdy jeden z miotaczy kolców, który dopiero co wyłonił się z bramy, posłał strumień pocisków w ich stronę. Większość kolców powstrzymała łopata, ale kilka zagłębiło się w kabinie ponad siedzeniem kierowcy.

Komandos wsparł się o kabinę i wypalił z Tyrannosaura, odrzut niemal go powalił.

– Niech mnie! – zakrzyknął, majstrując przy zamku i jednocześnie poruszając barkiem.

– Nieźle kopie, co? – rzucił ochotnik.

Sanson zdejmował demoniczne psy po obu stronach, a Weaver szybko zorientował się, że powinien wypatrywać zagrożeń, zamiast przyglądać się starszemu sierżantowi. Rozejrzał się wokoło i oczywiście ujrzał, jak jeden z psów wskakuje na tył pojazdu. Posłał mu prosto w łeb garść ołowiu, która nawet jeśli go nie uśmierciła, to przynajmniej strąciła z maszyny. Kolejny stwór próbował ominąć obracający się bieżnik wielkiej opony z boku, on zaś strzelił mu w plecy. Istota straciła władzę w tylnych nogach, ale nadal próbowała wpełznąć na buldożer.

W tym samym momencie jednak kierowca obrócił maszynę, nieświadomie miażdżąc ранego obcego, po czym obniżył łopatę spychacza, wyrównując ją z otworem bramy. Przy bramie leżała cała sterta rannych i martwych istot, które buldożer zepchnął z powrotem do dziury wraz z nowym, wyłaniającym się z niej miotaczem kolców. Kupa ciał obcych zachrzęściła, następnie łopata buldożera, szersza niż międzyplanetarne przejście, zetknęła się z bramą i zatrzymała się w tej pozycji.

Wszyscy czterej poczuli silne szarpnięcie do przodu, gdy pojazd gwałtownie stanął. Miejscowy



wyłączył silnik, lecz opony nadal obracały się w miejscu.

– Jasny gwint – warknął Miller. – To dziwne.

– Bardzo – przyznał Bill. Nie miał pewności, co się stało, ponieważ łopata była szersza niż otwór, ale gdyby próbował pokusić się o jakieś przypuszczenie, to stwierdziłby, że spychacz chciał jechać dalej, jakby brama w ogóle nie istniała, skutkiem czego przejście znalazło się teraz pośrodku maszyny. Jednak wyglądało na to, że miało całkiem realną obecność fizyczną. Tak czy inaczej zostało przynajmniej częściowo zablokowane. Udało się jeszcze jakimś psu wypełznąć pod łopaty, ale starszy szeregowy natychmiast położył go trupem.

– Opuść trochę łopatę – rzekł starszy sierżant sztabowy.

Milicjant-ochotnik uczynił to, obniżając ją aż do poziomu gruntu i pozostawiając górną połowę bramy otwartą. Chwilę potem miotacz kolców wgramolił się na przeszkodę i został trafiony ogniem trzech różnych karabinów maszynowych, więc szybko spadł z powrotem do dziury.

# Spis treści

<a href="#">STRONA TYTUŁOWA..</a>	1
<a href="#">ROZDZIAŁ PIERWSZY..</a>	3
<a href="#">ROZDZIAŁ DRUGI.</a>	13
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZECI.</a>	29
<a href="#">ROZDZIAŁ CZWARTY..</a>	40